

Nr. Książki

Autor

D 401

Gnoiński, B.

Tytuł

Książki

Rok 1812

(1911)

Nr.
stejn.Data
zwrotuData
wypoż.Nr.
czyteln.

56

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1518 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:**10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA**

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozlaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczonez obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

Dupl.

D 401

JUL 1 '38

SEP 2 '51



ZE WSPOMNIEŃ
MOJEGO DZIADKA.

Cena rub. 1.

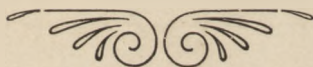
KIELCE. ———— 1911.
DRUK. ST. SWIĘCKIEGO.

Rok 1812.



ZE WSPOMNIENÍ
MOJEGO DZIADKA

BOLESŁAW ZYGMUNT GNOIŃSKI.

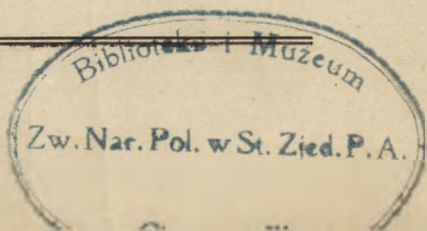


WŁASNOŚĆ I NAKŁAD

XXXXXX W. Z.

PRZEDRUK WZBRONIONY.

Da. Pana F. Dziejowski



PRZEDMOWA.



Wydając niniejszą książkę pod tytułem „Ze wspomnień mojego dziadka“, pamiętnik z wojny 1812 roku, mam szczerą chęć zapoznać rodaków swoich z historycznymi faktami tej wielkiej wojny, jakie odkrywają nam rzeczywistą prawdę i dają możność z powodu setnej rocznicy przypomnieć sobie o bohaterskich czynach naszego wojska polskiego.

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie dotyczące tej książki fakta odślaniają nam nietylko zawartość prac historyków i kronikarzy tej epoki, lecz także świeże zjawienie się na światło dzienne nowych dziejów historii naszego byłego wojska polskiego, które czerpałem z dokumentów rodzinnych.

Co zaś tyczy się reszty opracowania, ogólnej charakterystyki spotykanych w tem wydaniu typów, oraz strategiki wojennej, to w tym wypadku okazały mi pomoc dzieła biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego i „Rękopis Napoleona,“*) w którym jasnkrawo rzucają się te przykre dla nas słowa: „Polacy jest to naród, który w własnym charakterze nosi swoją zgubę.”

Autor.

*) Rękopis ten, przystany niewiadomym sposobem z wyspy Ś-tej Heleny, jako przedruk w 1817 r., znajduje się u autora niniejszego wydania.



I.



Ukończywszy szkołę kadetów w Kaliszu, zostałemznaczony do 2-go pułku ułanów polskich, kwaterujących w Radomiu, a dnia 24-go kwietnia 1812 r. pierwszy raz włożyłem mundur podporucznika tego pułku.

Nie będę opisywał zadowolenia, jakie ten uniform mi sprawił, ważniejsze wspomnienia tłoczą się do myśli, wspomnienia wielkiej wojny 1812 r., którą wojska nasze odbyły w celu odzyskania części poszarpanej Polski. Zanim jednak przystąpię do tego, muszę słuchaczy zapoznać z mym wiernym sługą „Cyganem,” który dla niezwyklej swej siły i zacnego charakteru zasługuje, abym sławę jego wszędzie głosił.

Samo nazwisko „Cygan” zadziwi każdego, gdyż figuruje ono bez imienia, ale niestety Cygan rzeczywiście go nie posiadał. Kupiony przez mojego ojca od bandy cyganów, gdy był 5-cioletniem dzieckiem chrześcijańskim, i dany mi za towarzysza wówczas, kiedy i ja miałem 5 lat, gdyż braci rodzonych nie miałem. Z czasem, kiedy towarzysz mój wyrósł, doszedł do tak niezwykłej siły fizycznej, że zadziwiał nią całą okolicę naszego dworku.

Podczas pobytu mego u kadetów, Cygan zajmował się posługą domową, lecz z chwilą, gdy zostałem oficerem, zapisałem go do szeregów naszego pułku.



II.



godnie z papierami, przysłanemi przez Napoleona do Księstwa Warszawskiego, i uchwale rady wojennej, całe wojsko polskie zostało rozdzielone i części jego przyłączono do korpusów francuskich w następujący sposób: 1, 2, 3, 6, 8, 12, 13, 14, 15, 16 i 17 pułk piechoty, jak również pułki jazdy 1, 4, 5, 12 i 13 do 5-go korpusu armii francuskiej. Na czele stanął Józef książę Poniatowski, szefem zaś sztabu tego korpusu został generał Fiszer. Wyżej wymienione pułki zostały oprócz tego podzielone na trzy dywizje piechoty pod kierownictwem generalów: Zajączka, Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, i na dywizję jazdy pod dowództwem księcia Sułkowskiego. Dalej ułani, złożeni z pułków 2, 3, 7, 11, 14, 15 i 16, którym przodował generał Roźniecki, połączyły się z dywizją kirasjerów Saskich i otrzymały nazwę korpusu 4-go rezerwy kawalerji pod dowództwem generała Grandjean, a należącą do korpusu 10-go wielkiej armji, którym dowodził książę Tarentu.

W tym czasie także wracały nasze wojska z Hiszpanji, gdzie dawniej jeszcze służyły Napoleonowi do trudnych tam walk. To wojsko, nie mając wypoczynku po długo trwającej, zwycięsko skończonej wojnie, zostało także powołane do wojny z Rosją i podzielone na dywizję generała Girard, w której się mieściły 4, 7 i 9 pułki piechoty, należące do korpusu 9-go wielkiej armji, dowodzonego przez marszałka Wiktora księcia de Bellune, i pułki ułanów 6, 8 i 10 do 1-go korpusu rezerwy kawalerji.

Prócz konnych i pieszych pułków rządu Polski wysłał artylerję pieszą i konną, która znajdowała się w 10-m i 9-m korpusie.

Nie brakło bataljonów i szwadronów rezerwowych, jak również oddziału narodowej gwardji pod dowództwem generała Amilkara Kosińskiego.

Pociągnęły również pułki te, które francuzi w swoich szponach trzymali, mianowicie: pułk lekkokonnych czyli szwoleżerów generała hrabiego Krasieńskiego, cztery pułki piechoty, zwane „Legją Nadwiślańską,“ składającą dywizję generała Claparde, i 2 pułki ułanów nadwiślańskich Stokowskiego i Łubieńskiego.

Prócz wojska, jakie wyżej wymieniłem, nie brakło także ofiar pieniężnych, hojnie sypanych rękami rodaków; nie brakło furgonów ze zbożem, podążających na teren walki. Nawet każdy najbiedniejszy obywatel kraju czuł się w obowiązku złożenia choćby talara na ratunek Polski, a chciwy francuz łapał i łapał wszystko cokolwiek się dało, obiecując w nagrodę śniegi i mrozy rosyjskie, śmierć i rany dla tysięcy młodzieży, kwiatu polskiego.

Litwin, powolniejszy i bardziej zastanawiający się nad obietnicami żarłoka krwi, nie tak serdecznie i z mniejszemi owacjami przyjmował Francuza. Księstwo Warszawskie ogłosiło go z góry swym zbawcą i ojcem, nie wiedząc o tem, iż sam Napoleon wyrażał się, a nawet zaznaczył to w rękopisie swoim, że polacy w swoim charakterze noszą własną zagładę i nigdy nie myślał o wskrzeszeniu państwa polskiego.

Przyznawał wprawdzie polakom, że waleczności ich żadna narodowość nie dorówna, ale i te pochwały nie były szczere, jakkolwiek prawdziwe. Tam gdzie polacy zwyciężając, piersią

swoją francuzów od zagłady ratowali, przypisywał zasługę swemu genjuszowi wojennemu.

Rozumie się, iż nikt myśli Napoleona nie odgadł, to też każdy polak, idący wtenczas na wojnę, szedł z zaparciem się siebie.

Prawie każdy pułk naszej dywizji miał wytkniętą marszrutę podróży. Pułk 2-gi ułanów, w którym służyłem jako oficer, wyruszył pierwszy z Warszawy dnia 14 czerwca 1812 roku, drogą na Miąszcze, Jadów, Kamieńczyk, Kosów, Nur, Ciechanowiec, Suraż, Białystok, Wasilków, Sokółkę, Kuźnicę do Grodna.

Przy odgłosie muzyki wyjeżdżaliśmy z Warszawy. Dziesiątki tysięcy widzów przyglądało się temu pochodowi. Pojazdy i karety ze znaczniejszemi osobami, odprowadzały nas kilkanaście wiorst za miasto i dopiero, gdy pułk ruszył kłusem, wracały z powrotem.

Miałem dzielnego konia, którego niezwykła rasa wabiła setki kupców i faktorów, nikt bowiem w całej dywizji nie miał podobnego jemu; przytem zwierzę to było tak przywiązane do swego pana, że gdybym nawet zsiadł z niego i puścił samopas, mimo swego ognistego cha-

rakteru nie uciekłby nigdzie, a szedł za mną jak pies.

Mijaliśmy po drodze wsie i miasteczka, nareszcie wjechaliśmy do Gródna.

Gdy muzyka zagrała marsza, wszystko co żyło wyległo na ulicę, a przekupki, myśląc, że przez miasto tylko przejedziemy, biegły w około koni z bułkami, chlebem, serem, zachwalając swój towar. Tymczasem stanęliśmy na rynku. Tu kazano nam się zatrzymać i przeczytano odezwę do wojska polskiego, pisaną przez Napoleona w Wołkowyszkach, gdzie urządził był sobie główną kwaterę.

Zacny nasz pułkownik, sługa ojczyzny a ojciec podwładnych, pokryty kurzem i spocony, przejeżdżał obok szeregów, rozweselał smutnych, dodawał otuchy, obdarzał łakociami, orzechami, tytuniem, a wreszcie wpadłszy w dobry humor, kazał swemu skarbnikowi wydać całemu pułkowi po dwie lampki wódki na głowę.

Gdy głośnie „wivat“ uspokoiło się, adjutant rozdał broszury oficerom, którzy czytali swym oddziałom, co następuje:

„Żołnierze! zaczęła się druga wojna polska, pierwsza skończyła się pod Fridlandem i w Tylży.

Tam zapewniła Rosja Francji wieczne przymierze, Anglii wieczną wojnę. Dziś gwałci swoje przysięgi i żadnego względem osobliwego postępowania swojego nie chce dać tłumaczenia, dopóki orły francuskie za Ren nie wrócą, zostawiając sprzymierzeńców naszych jej samowoli. Rosja pociągana jest złym losem swoim, jej przeznaczenie musi być spełnione! Miałaby rozumieć, żeśmy się już zmienili? Mielibyśmy już nie być żołnierzami z pod Austerlitz? Stawia ona nas między hańbą, a wojną; wybór nasz nie może być wątpliwym. Naprzód więc, przejdźmy Niemien, przenieśmy wojnę na rosyjską ziemię. Druga wojna polska również będzie chlubną dla oręża francuskiego, jak pierwsza; lecz pokój, który po niej zawrzemy, w sobie samym rękojmię trwałości swojej mieć będzie i położy nieprzebytą tamę dumnemu wpływowi, jaki Rosja od lat 50 na stosunki europejskie wywierała.“

No, no! odezwał się jakiś głos w szeregu, gdy odezwę czytać skończono, tylko my tam pojedziemy, to porządek zaraz będzie.

Ponieważ ten głos odezwał się w pewnym oddaleniu odemnie, przeto zanim znalazłem go

oczami, ów nadobre wpadł w kaznodziejski zapal, prawiąc do otaczających go kolegów: „My ich nauczymy, co znaczy ułańska lanca i pałasz, będą wiedzieli, jak umowy dotrzymywać, wytłomaczą się oni kopytom naszych koni!“

Był to Cygan. Zaperzony gniewem pozwalał sobie na coraz głośniejsze wywody, ciągnąc dalej. „Prac bracia, azby się popiół nieprzyjacielowi z nosa posypał, klucz do ostatniej wątroby“... Lubo takie słowa świadczyły o dobrem usposobieniu żołnierza, przecież były cokolwiek za głośne i za śmiało wypowiedane, zwłaszcza że w bliskości znajdował się oficer. Przeto nie chcąc uczyć żołnierzy samowolnych rozumowań, machnąłem ręką, nakazując milczenie.

Godzinę zabawiliśmy w Grodnie, poczem zagrano „wsiadanego“ i pułk ruszył dalej.

Nie wiem z jakiej przyczyny kazano nam jechać z Grodna na Jeziory, Kobile, Orany, Olkieniki, Wilno, gdy tymczasem reszta pułków naszej dywizji z Grodna wykręciła odrazu na prawo, udając się na Mińsk. Z Oran ruszyliśmy dobrego kłusa. Gdy oddaliliśmy się ze dwie mile od tego miasteczka, na zachodniej

stronie nieba ukazała się jasna luna. Pułkownik, pokazując na nią, mówił, iż wiadomości w Jeziorach go zastały, jakoby rosyjski generał Tormasow, korzystając, iż Podlasie i część Litwy wolne od wojsk polskich, myśli takowe najechać i pustoszyć. „Otóż ta luna nie bardzo mi się podoba, ciągnął dalej pułkownik, i chociaż nie mam rozkazu skręcać z drogi, jednakże ciekawością zdjęty, rozkazuję panu szwadroniście Berezowskiemu, aby, zabrawszy 100 ludzi ze swego szwadronu, obaczył co się święci i jeżeli to jest nieprzyjaciel, a liczny — języka zaciągnął, jeżeli zaś nie liczny — nauczkę mu sprawił. W każdym razie wysyłam ten oddział na zwiady i tych podporuczników do asysty daję. Tu zwracając się do szwadronisty 1-go szwadronu, wskazał ręką na mnie i moich kolegów Gruszeckiego, Wendę i Dobrosławskiego.

Była noc, lecz na szczęście pogodna i jasna. Księżyc w całej swej pełni przyświecał, rzucając blade światło na twarze ułanów.

Ruszyliśmy w kierunku łuny klusa. Gdy przestrzeń między nami a wskazanym celem znacznie się zmniejszyła, tak że ogień stał się

zupełnie widocznym, wówczas szwadron zatrzymał się. Rotmistrz spojrział przez lunetę polową raz i drugi, wreszcie oznajmił: „Kozacy palą klasztor, broniących się nie widać, widocznie ich wytlukli.“ Ledwo to skończył mówić, gdy wtem jakiś lecący parowem punkt wynurzył się na pole. W tej chwili dwóch ułanów sunęło za nim i w parę chwil stawili go przed szwadronistę. Był to chłop litewski, ze strachu mówić z początku nie mógł, dopiero przekonawszy się, iż ze swoimi ma doczynienia, wykrzyknął. „Oj panowie, panowie, na rany Chrystusa, brońcie nasz klasztor, ze wsiem kozaki go niszczą! Ja im się wyrwałem ukradkiem i do Oranów pędzę dać znać! Śpieszcie, a śpieszcie, bo z braciszków nie wiem czyli kto jeszcze żywy!”

Dobrze, rzecze rotmistrz, a ilu ich mniej więcej?

„Nie wiem, jaśnie panie, kupa była,“ odrzekł chłop.

„Galopem marsz!“ rozległa się komenda szwadronisty. Lance opuściły się ku dołowi i szwadron rozwiniętym łańcuchem ruszył z kopyta.

Każdy starał się pierwszy dojechać do nieprzyjaciela, który po kilku chwilach galopu, stał się zupełnie dla nas widzialnym.

Kozacy, przeczuwszy pismo nosem, usadowili się za płotem i stąd przywitali nas ogniem karabinowym, lecz wkrótce stamtąd wyparciu, szukali schronienia w stajniach i oborach, prażąc nas gęstymi salwami.

Walka była nierówna, gdyż przypadało czterech kozaków na jednego ułana, przytem pozycja ich była doskonała.

Grad kul, wypadający z obór, dziesiątkował nasze szeregi. Poziadaliśmy z koni i poszli piechotą szturmem do obory. Teraz zaczęła się istna rzeź, ułan mścił się za pobitych towarzysów, kozak ratował życie. Wtem na dziedzińiec klasztorny wpadła pomoc kozakom. Nastąpiło ogromne zamieszanie pomiędzy naszymi; klasztor gorzał, poświęcając walczącym, wśród których śmierć zbierała hojne żniwo.

Mimo przewyższającej siły kozaków i chwilowego nieporządku pomiędzy ułanami, wyparliśmy nieprzyjaciela z obory, kładąc gęsto trupa, a puszczając takową po zdobyciu z płomieniem, poszliśmy szturmem na ogród. Nagle z poza

drzew ogrodu posypała się kanonada, powodując śmierć przynajmniej 30 ułanów, w tej liczbie podporuczników Gruszeckiego i Wendy, a jednocześnie prawie i ja poczułem ból w boku, w oczach mi się zaćmiło i padłem.

Gdym pierwszy raz po przyjsciu do siebie oczy otworzył, była to chwila, w której walka prawie ustawała; naszych z głośnemi okrzykami „ura” kozacy zmuszali ostatecznie do opuszczenia terytorjum klasztoru, tylko tam, z niespalonych jeszcze mieszkań zakonników rozlegają się krzyki: „Nakidaj wieriowku, bieri żiwowo!”

Spojrzałem w tę stronę i widzę dziwy: Cygan odłamkiem spalonej belki wywija w sieni jak maczugą, wreszcie od strasznego uderzenia dwóch na miejscu kładzie i pędem wypada na podwórze. Tu ze wszech stron otaczają go kozacy, a kilku z nich wymierzyło doń swe pistolety, krzycząc: Poddawaj się sobaka!” Ale „sobaka” ani myśli. — Nie mając broni czyha ze swą maczugą na śmielszego, który bliżej podejzie, lecz amatorów zapoznania się z drągiem jakoś nie widać.

Tak stali kozacy, okrążywszy Cygana, aż wreszcie zniecierpliwieni dali do niego ognia.

Westchnąłem, gdy strzały rozległy się, a przyjaciel mój, zrobiwszy ostatni wysiłek, upadł.

Kozacy, opuściwszy swą ofiarę, wyprowadzają teraz z cel drżących od strachu zakonników z okrzykiem „wieszat' ich“!

Pan Bóg zlitował się jednak nad niewinnymi, gdyż z poza lasu rozlega się komenda: „Bij“! i kozacy, szykujący się do odjechania, w liczbie pięciuset zostali ze wszystkich stron otoczeni.

W czasie bowiem walki wachmistrz z czterema ułanami dogonił naszych, oznajmiając im o porażce i sprowadzając teraz cały pułk na ratunek.

Wielkie straty ponieśli kozacy, rozsypując się na wszystkie strony i zostawiając zrabowane konie i rzeczy klasztorne.

Z braciszków jednego tylko zdążyli powiesić, reszta ocalała szczęśliwie.

Niebawem przystąpiono do mnie. Chirurg pułkowy oznajmił, że rana nie jest groźna, tak że za chwilę odzyskam siły, a za dni parę będę zdrów.

Wpierw nim złożono mnie do polowego szpitala, kazałem zanieść się, gdzie leżał Cygan. Tu zobaczyłem przykry obraz: do wpół otwar-

tych ust jego tłoczyło się mnóstwo much, a z twarzy i piersi płynęła krew w rękach zaś trzymał konwulsyjnie zaciśnięty medaljonik Matki Boskiej. Żal niezwykły opanował mnie, posłałem po chirurga; ten, obejrzawszy starannie chorego, oznajmił, że Cygan żyć będzie, jeżeli przetrzyma operację wyjęcia kuli. To mówiąc, porozcinał ciało na piersi i szarpnął jakimś narzędziem, wyciągając kawałek splaszczonego ołowiu. „Twarda w nim natura, bo zaczyna lepiej oddychać, zauważył chirurg, jest nadzieja, że go uratujemy.“

Po kilku chwilach Cygan otworzył oczy, widząc mnie rzekł cichym głosem: „A co to, po śmierci się widzimy, wasza mość?“ poczem wymówił „pić.“ Podano mu wody, gdy napił się dosyć, tak począł dalej mówić do mnie: „Wasza mość, gdym upadł, przyszła do mnie jakaś pani w bieli, tak piękna, że trudno opowiedzieć, poczem przemówiła:“ „Nie bój się synu, słyszałam twą modlitwę, będziesz zdrów.“ Tu lza stoczyła mu się po policzku i znów stracił przytomność.

Zajechał szpital wojskowy, umieściwszy w nim rannych, w dalszą ku Wilnu ruszyliśmy drogę.

Wyczerpany i osłabiony nie mogłem jeszcze utrzymać się na koniu, jechałem więc w ambulansie.

Jęk rannych i majaczenie w gorączkach, tak mnie rozstroiły, iż niczem w świecie nie mogłem się zająć. Czasem myśl o rodzinnej strzesze, o ukochanych rodzicach zajmowała moją głowę, powodując żal i jeszcze większe zobojętnienie na straszny obraz wojny; to znowu widok pobitych towarzyszków nie dawał mi spokoju. Wszystko to razem zlewało się w oddali z głosem puszczyka i dźwiękami sygnałów.

Smutno mi było. Mimo że chirurg oznajmił, że za parę dni będę zdrow, przecież widocznego polepszenia nie czulem. Z każdą nadchodzącą nocą gorączka wzmagala się, do tego maligna Cygana, jego przez sen rozmowa, tak mnie przygnębiły, że wątpić o swoim życiu zacząłem.

Gdy tak rozmyślałem, złamany na duchu i ciele, pewnego poranku do uszu moich doleciały głosy: „Ułani nadwiślańscy Stokowskiego!“ Wyrzałem przez okno karetki, gdyż do pułku tego został przed paroma miesiącami powołany

mój wuj na szwadronistę, a że przed wyjazdem odwiedzał mych rodziców, wieści też jakoweś wiezie, pomyślałem sobie. Chciałem wyjść z karetki, ale ból dotkliwy zmusił mnie do siedzenia, dopiero gdy posłał po niego, po kwadransie zjawił się u mnie.

Z rozmowy z wujem dowiedziałem się, że niedawno urlopowany, jeździł do Krakowa w sprawie odbioru pieniędzy, a że był w dworku naszym, więc też i nowiny posiada, które atoli były niewesołe, a im dłużej mówił, tem boleśniejsze wieści mi odślaniał.

Wreszcie oznajmił mi, że ojciec umarł, matka ciężko była chora i zabudowania spalone.

Nie wiem, czy owe wieści, czy ogólny stan mego zdrowia to sprawił, dość że choroba moja przybrała stan ciężki i tym sposobem zostawiono mnie w Oranach w szpitalu, naprędce urządzonym. Tutaj także w pokoju, przeznaczonym na to, złożono ciężko chorego Cygana, a także 10-u rannych ułanów z onej bitwy klasztornej. Tymczasem pułk nasz opuścił Orany nazajutrz rano, udając się w stronę Mińska, gdzie nagle został powołanym.

Opuszczeni od wszystkich, zostawieni byliśmy tylko na to, by za dni parę mieszkańcy Oranów wyprawili nam pogrzeb; jakoż w dwa dni później czterech ułanów odmaszerowało na tamten świat, a dwóch leżało w agonji.

Siostra miłosierdzia rozweselała nas swą pogodną twarzą, ona jedna była ciągłym naszym aniołem stróżem; co dzień przynosiła nam wiadomości o ruchu wojsk polskich, na które czekaliśmy z upragnieniem.

Tymczasem zdrowie moje i Cygana znacznie się polepszyło. Siły młode powracały, tak że zostawiwszy jednego z towarzyszków chorego, w pięciu opuściliśmy szpital i choć podpierając się na pałaszach, zaczęliśmy szukać naszego pułku.

Pierwsze nasze kroki skierowaliśmy do pobliskiej wsi, gdzie prośbą i groźbą zmusiliśmy chłopca do odwiezienia nas, gdyż żaden nie posiadał konia; nawet mój wierzchowiec poszedł wraz z pułkiem.

Niezwykłe ciemne lasy stawały się nocami nie do przebycia. Chłop, który nas wiozł, należał do liczby wyjątkowych gapiów, to też w trzecim dniu jazdy, wjechawszy w las, drogę zgubił.

Noc była dżdżysta, gdy mimo ostrożnej jazdy, zawadzając o pnie drzew, ujrzelśmy zdala na polanie porozrzucane ogniska, około których kręcili się jacyś ludzie.

Serca nasze radośnie zabiły, myśleliśmy bowiem, iż to musi być 12-ty, albo 15-ty pułk piechoty polskiej, gdyż z opowiadań siostry miłosierdzia mniej więcej tu się w obecnym czasie znajdować powinien.

Chłop, czując koniec nudnej podróży, ochoczo konie zaciął, lecz jakież rozczarowanie nastąpiło, gdy z poza sosny rozległ się głos: „Stoj! kto idiot?“

Nim oprzytomniawszy, schwyciłem chłopu lejce, by skrócić do ucieczki, zostaliśmy ze wszystkich stron otoczeni. Po bliższem rozpoznaniu tych ludzi, okazało się, że był to pułk orenburskich kozaków z dywizji generała Tomasowa.

Stawiono nas przed jakąś bardzo niesympatycznie wyglądającą osobistością. Rozumiałem po rosyjsku, nawet umiałem czytać i pisać, jednakże przez ostrożność udałem, że nie znam zupełnie tego języka. Na szczęście nic złego nam

nie uczyniono, owszem kazano nawet obchodzić się z nami grzecznie, gdyż nazajutrz mieliśmy być wysłani do głównej kwatery.

Nad ranem pułk, którego byliśmy niewolnikami, zabrawszy nas, ruszył w drogę ku Mirowi.

Ledwo las się skończył i wyszliśmy na polanę, z zachodu dał się słyszeć nagły huk armat i salwy karabinowej; kozacy, posłuchawszy trzasku, pędzili w tę stronę.

W oddali zauważyłem pędzący ku nam 2-gi szwadron naszego pułku, na czele którego podążali kapitan Błeszczyński i podporucznik Bilewicz na moim koniu. Zupełnie zapomniano o nas, jakoż jeden za drugim, ze związanymi rękami, puściliśmy się na tyły swoim. Odrazu poznali nas, jeno że hałas i bitwa nie pozwalały im zająć się nami.

Obserwowałem przebieg bitwy: Kozacy, nie chcąc przyjąć ataku, szybko cofnęli się w prawo ku głównej bitwie, która na tem terytorjum trwała już do dwóch godzin, lecz odpoczywający za stertami słomy 12-ty pułk piechoty polskiej ogniem ich przywitał, sprawiając rozsypkę kozaków.

Jakiś zbłąkany piechur polski porozcinał nam więzy, my zaś porwawszy karabiny po zabitych, pobiegliśmy do stert, by razem z pułkiem 12-m walczyć teraz przeciwko 2-m pułkom piechoty i baterji armat.

Parci przewyższającą siłą, nie mogliśmy znaleźć na jedną minutę punktu oparcia, by na chwilę zasłonić się od straszego ognia dział. Jak tu walczyć, gdy blisko sześciu na jednego i do tego kanonada z armat. Trup tak gęsto padał, że żywi przewracali się o niego, a niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Zagłada pułku 12-go zdawała się być nieuniknioną, gdyż artylerja rosyjska, siejąc ogień z pagórka na równinę, miała go za cel doskonały. Trzeba było wielkiego poświęcenia, żeby zdobyć ryczące armaty i zniszczenie, jakie rozsiewały, przerwać. Wtem porucznik tego ginącego pułku z dwoma ranami na twarzy i przestrzeloną ręką, daje dowody cudów waleczności. Zebrawszy niedobitków 2-go bataljonu, rusza z nimi wprost na ziewające paszcze armat. — Podążyliśmy z nim. Podczas pochodu tego jakoby piekielnego tańca, zostałem ranny w lewą łopatkę odłamem granatu, ale na szczęście nie groźnie. Parę chwil

upłynęło jeszcze zanim dostaliśmy się na pagórek, skąd buchał ogień armatni, podsycany salwami karabinów.

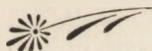
Potykając się z wrogiem, zdobywaliśmy krwawo każdy cal ziemi. Na szczęście, dzięki męstwu i nadludzkim wysiłkom, brygada artylerji dostała się w nasze ręce.

Nieprzyjaciel zdziwiony taką odwagą, czempredziej cofać się zaczął, porzucając swe działa.

Porucznik, bohater zdobycia, leżał teraz obok dymiącej się po wystrzale armaty. Śmiertelnie raniiony, ostatnimi słowy błagał żołnierzy, by bronili pozycji, poczem wymówił: „Boże zlituj się nad ojczyzną“ skonał. Komendę po nim objąłem jako oficer, i chociaż służby pieszej dobrze nie znałem, przecież na pozycji trzymaliśmy się przez godzinę. Gdybym dostał jakiegokolwiek posiłki, artylerja zostałaby w naszych rękach, ale niestety nie było skąd pomocy oczekiwać, gdyż tam na teatrze głównej bitwy potykało się 3000 polskiej jazdy z 8000 kozaków, 3000 regularnej jazdy rosyjskiej i z czterema pułkami piechoty, wspartymi 30 działami.

Zepchnięci z góry i zdziśnięci przez jazdę kozaków, opuściliśmy stanowisko, cofając się ku generałowi Roźnieckiemu, który był przyczyną tego niepowodzenia.

Po sześciogodzinnej upartej bitwie, dywizja naszej jazdy i resztki pułków piechoty cofnęły się ku Mirowi. Działo się to dnia 10-go lipca 1812 roku.



III.



dalszym postępie naszych wojsk ku Witebskowi zaszła bitwa pod Ostrowcem, której pomyślny wypadek rozstrzygnął król Murat przez śmiałe uderzenie osobiste na nieprzyjaciela, na czele polskiej jazdy. Była to brygada polska generała Niemojewskiego, złożona z 6-go i 8-go pułku jazdy ulanów. General Niemojewski został wtedy ranny, odznaczwszy się męstwem. Na nieśmiertelną sławę zasłużyli również: pułkownik Pągowski, major Suchorzewski, szefowie sztabu Łojewski i Oborski, kapitanowie Grodziński, Kisielnicki, Łakiński, Stryjewski i podporucznik Ossoliński. O bitwie tej dowiedziałem się z opowiadania, gdyż szybkim marszem odprowadzeni nad brzegi Luciszy, zmuszeni byliśmy rozpocząć zaczepne działanie przeciwko armji rosyjskiej, tu rozlokowanej.

Napoleon tutaj chciał dać ogólną i stanowczą bitwę, z tej więc przyczyny zaczął tu skupiać większe siły swoje. Ale rosjanie opuścili

-
-
- w cichości stanowisko, łudząc palącymi się ogniami nasze wojska, że obóz jeszcze zajmują, odsłaniając w ten sposób miasto Witebsk, które też zajęliśmy niezwłocznie.

Wkrótce naczelnny wódz rosyjski szybko połączył się z armją Bagratjona i ruszył na nasze pozycje. Z początku szło mu dość szczęśliwie, jednakże spotkawszy się z dywizją naszej jazdy, w nieładzie cofać się musiał.

- Dnia 14-go sierpnia wczesnym rankiem nasz 2-gi pułk wyjechał na pozycję, pomiędzy rzeką a lasem. Rozkaz był szarżować tylne strażę Barklaja, znajdujące się niedaleko Kresna, a złożone z dragonów.

Ze słowami „Jeszcze Polska nie zginęła,“ równo z wiatrem wpadliśmy na nieprzyjaciela, który, nie mogąc wytrzymać ataku, choć będąc trzykroć liczniejszym, ku Smoleńskowi się zwrócił.

W trakcie tej szalonej szarży jechałem na swoim koniu, który lubo był ranny w biodro, przecież wyglądał bardzo wesoło. O kilkadziesiąt kroków odemnie pędził Cygan, czyniąc spustoszenie. Dragoni zmykali znakomicie, jednakże liczba ich topniała znacznie. Gdy tak pędząc

szykowałem się, by dogonić oficera, na prawo odemnie rozległy się krzyki: „Łapaj sztandar!“ Spojrzawszy w tę stronę, zobaczyłem oficera dragońskiego wyższej rangi, który zerwawszy z drzewca sztandar swego pułku, za pazuchę munduru pakował. Sypnęło się za nim czterech ułanów, a także ja i Cygan. Przeciwnik na dzielnym koniu uciekał, trzymając nas w tyle.

Zaczęła się gonitwa. Koń mój, ukłuty ostrogą, szarpnął się naprzód z zadziwiającą siłą i szybkością. Przestrzeń pomiędzy mną, a uciekającym była przynajmniej 200 kroków. W kilku sekundach wyprzedziłem goniących go ułanów i zbliżyłem się ku niemu dość znacznie, jednakże „trafiła kosa na kamień,“ koń uciekającego był również pięknej rasy i jakkolwiek z początku doganiałem go, teraz przestrzeń pomiędzy nami zdawała się być jednakową.

Zniecierpliwiony tą monotonnością, ukłułem swego konia raz, drugi i to sprawiło, że rumak mój w kilkunastu nad siły wytężonych skokach zrównał się z przeciwnikiem, który na pałasze walkę ze mną przyjął. Nie miałem z nim wiele roboty, w drugim złożeniu spadł z konia raniony w twarz, a sztandar stał się moją zdobyczą.

Szarża skończyła się, nieprzyjaciel, znowuż skoncentrowany pod samym Smoleńskiem, stanął, szykując się za wszelką cenę do bronienia tego miasta.

Dnia 17-go sierpnia otrzymaliśmy rozkaz atakowania prawego skrzydła połączonych armji rosyjskich. Książę Sułkowski z brygadą jazdy 5-go pułku strzelców, 13-go ułanów i baterją artylerji, zaczął bój przez wyparcie jazdy nieprzyjacielskiej, przed miastem ustawionej.

Dwa bataljony wołyżerów polskich 8-go pułku uderzyły na przedmieście Małoochockoje, drugie dwa 3-go pułku piechoty na bramę Mikołajewską, a 2-gi na przedmieście Radczuka. Tu sławny nasz generał Zajączek, dowodzący 2-m i 15-m pułkiem piechoty, zdobył pierwszy przedmieścia, ale sam został ranny. Generał Michał Grabowski z pałaszem w ręku szedł na grad kul, niezwykłym swoim męstwem zdobył redutę, zapłacił jednak za nią życiem. Polegli także przy tym szturmie: pułkownik Zakrzewski, podpułkownicy: Podkański i Gawar, a także kapitan Dębiński.

Do księgi laurów waleczności zapisano księcia Konstantego Czartoryskiego, stojącego na

czele 16-go pułku piechoty. Pierwszy do miasta wszedł pułk 15-ty pod przewodnictwem generała Izydora Krasińskiego.

Na drugi dzień po zdobyciu Smoleńska, Napoleon własnoręcznie rozdawał krzyże legji honorowej. Dotąd więc ukrywany przezemnie sztandar należało złożyć u stóp cesarza, brakowało mi tylko większej śmiałości, iżby nie posądził mnie o zbytnią chępliwość.

Po małej godzinie Napoleon, jadąc wraz z generałem Dąbrowskim i Latour Manbourgim, zatrzymali się obok naszego szwadronu, wywołując podporuczników: Bojanowskiego, Chociszewskiego i Dębińskiego. Wyczytani kolejno podjeżdżali do cesarza, który własnoręcznie krzyże im przypinał. Doczekawszy się aż ta uroczystość przeszła, podjechałem do Dąbrowskiego ze słowami: „Panie generale, racz zabrać tę dragońską płachtę, która mi cięży niezmiernie”—tu podałem mu sztandar. Zdziwiony Dąbrowski obejrzał starannie zdobycz, poczem, odesławszy ją do sztabu, rzekł: Dziś jeszcze zostanie wydane ogłoszenie w rozkazie dziennym, na zasadzie którego zostaniesz pan przeniesiony do 6-go pułku ułanów, który udaje się w stronę Moskwy.

Tam będziesz waćpan miał pole do większych rang, a tymczasem sztab posuwa cię o jeden stopień, na porucznika.

Zadowolony byłem, że tak się skończyło, nie uważałem bowiem zasług swoich za rzecz, godną krzyża.

Zaledwie wypoczęliśmy trochę, odgłos sygnałów oznajmił nam o pochodzie w dalszą drogę. Teraz rozłączyłem się z Cyganem, on bowiem z pułkiem 2-m pojechał w okolice Bobrujska, a ja z 6-m drogą ku Moskwie.

Delikatna armja francuska, zmęczona fatalnemi i błotnistemi drogami, szczególnie piechota, marniała ogromnie z każdym dniem. Zapasy wyczerpały się, lub też były na wyczerpaniu, a tu nieprzyjaciel uchodząc palił i niszczył wszystko. W obozie francuskim pojawił się tyfus, który niszczył ich znacznie. Nastąpiło zwątpienie, zwłaszcza przy ogromnym znużeniu, głodny żołnierz straszne odbywać musiał marsze. Wytrwali Polak z łatwością przenosił te trudy wojenne, to też wszędzie nim się posługiwano. Teraz dopiero generałowie francuscy z Napoleonem zaczęli zastanawiać się, że lepiej było na zdobytych prowincjach polskich poprze-

stać i tam urządzić zimowe kwatery. Jednakże mimo jasnego dowodu, nie ostrzegło to Napoleona i nie ugięło jego dumy. Stracić setki tysięcy ludzi dla tego, aby szukać niepewnego zwycięstwa, było dla niego rzeczą błahą. Zdobył on wprawdzie w przeciągu dwóch miesięcy ogromną przestrzeń kraju od Niemna aż do Dniepru, lecz wojska, z którymi toczył wojnę, cofały się w największym, naogół biorąc porządku, i z mniejszemi stratami, niż jego zwycięskie legjony. Podbite prowincje były tak zniszczone, że nic z nich wydobyć nie było można, co mogłoby służyć na zasilek.

Tymczasem cesarz rosyjski Aleksander nadał wojnie charakter religijny, ogłaszając że Napoleon przyszedł po to do Rosji, by ludowi pobożnemu wiarę prawosławną odebrać.

Dnia 6-go września stanęliśmy nad brzegami rzeki Moskwy, pod wsią Borodino. Wielka armja Napoleona przedstawiała największe siły w francuzach i polakach, gdyż wszystkie sprzymierzone wojska obcych państw, podbitych przez Napoleona, nie przedstawiały żadnego materiału wojennego dla Francji i już pod Borodino był to element rewolucyjny i niechętny Napoleonowi.

Losy pułku naszego rzuciły nas pomiędzy 5-tym korpusem a wsią Pasażewo, tym sposobem zajmowaliśmy stanowisko w 2-gim korpusie rezerwy kawalerji. Koń mój przeczuł zbliżający się bój, rżąc i chrapiąc nozdrzami, rzucał się niespokojnie.

Nagle ziemia zatrzęsła się, gdyż z górą dwakroć sto tysięcy wojska z obudwuch stron uderzyło na siebie, a tysiąc armat otworzyło ziejące paszcze.

Gdy 5-ty korpus natarł naprzód na silną kolumnę piechoty nieprzyjacielskiej pod wsią Pasażewo i zdobył ją, z drugiej strony tej wsi francuska artylerja, połączona z naszą, wyjeżdżała na stanowisko północno - wschodniej bojowej linii, i w tejże chwili raptownie napadnięta przez trzy pułki jazdy rosyjskich dragonów i bataljon piechoty, wpadła w ręce nieprzyjaciela. Już nieprzyjaciel szykował się do odwrócenia własnych naszych armat w stronę 5-go korpusu, gdy sygnały naszego pułku zagrały do ataku.

Ruszyliśmy z miejsca ze wszystkich sił. Dziewięćset koni swemi kopytami uderzyło w twardą, spieczoną ziemię. Dziewięćset serc mocniej zabiło w piersiach ułanów i las dzie-

więciuset lanc opuścił się ku głowom końskim. Kurz wzniosł się słupem, fala powietrzna w twarz mnie uderzyła; zmierzaliśmy ku zabranym armatom.

General rosyjski, widząc, iż ognia z dział ku nam dać nie zdąży, wysłał dragonów na nasze spotkanie, a piechotę ustawiwszy z boków, kazał prażyć nas salwą karabinową.

„Naprzód!” rozbrzmiało w szeregach ułanów, — „Ura!” powtórzyło echo wpośród dragonów, i dwie masy ruchome i dwie fale, jakoby morskie, zwały się z sobą, a rzenie koni, jęk rannych i brzęk oręża, obił się o uszy moje. Postanowiliśmy za wszelką cenę odebrać armaty.

Pół godziny trwał bój uparty; pół godziny anioł śmierci okrywał swemi skrzydłami miejsce walki, nareszcie zwycięstwo zaczęło się przechylać powoli na naszą stronę. Trzykroć ranny, na kulawym koniu, zranionym także kulą w nogę, miałem rozstrzygnąć walkę, gdyż rosjanie, wyparci z prawego skrzydła naszego pułku, zwalili się całą potęgą na lewe, gdzieśmy byli.

Zaintonowałem donośnym głosem: „Boga Rodzico Dziewico, Bogiem Sławiona Marjo!” Ułani lepiej przychyłili się w siodłach i lepiej

ścisnęli lance. Co działo się dalej — nie wiem, gdyż koń mój, raniony drugi raz, przewrócił się, a w tym czasie dwie kule utkwily w mojem ciele: jedna w obojczyk, a druga w rękę.

Ból dotkliwy wrócił mi przytomność. Teraz, otworzywszy oczy, pojąłem, że bój o odzyskanie armat rozstrzygnął się pomyślnie, gdyż, zdobywszy takowe, nasi ułani uwieźli na główny teren bitwy, niszcząc prawie zupełnie piechotę i dragonów.

Leżałem wpośród zabitych i rannych. Koń mój, położywszy łeb na moich nogach, oczami błagał o pomoc. Biedne zwierzę jęczało strasznie.

Chciałem wystrzaleć z pistoletu oszczędzić koniowi tych cierpień, ale żal taki mnie przejął, że mimowoli płakać zacząłem. Staralem się podnieść, lecz napróżno, gdyż głowa leciała mi wtył, a nogi odmówiły posłuszeństwa. I kto wie, czy nie straciłbym przytomności po raz drugi, gdyby nie rozmowa, którą się zająłem.

Z poza ciał pobitych odezwał się głos: „Przyjacielu, widzę żeś żywy, bo się ruszasz, czy nie mógłbyś mi w łeb palnąć!?” Strasznie cierpię! żyć nie będę... jestem zgnieciony.” W tej chwili zobaczyłem z pod zabitego konia

głowę kolegi porucznika 1-go szwadronu; koń padając, ciężarem swoim złamał mu klatkę piersiową. Rzuciłem mu flaszkę z winem, ale nie trafiwszy tak, aby obok niego upadła, sam ją straciłem i jemu nie dałem.

Dla dopełnienia miary nieszczęść, zdała na prawo od wsi Pasażewo ukazał się słup kurzu, z szybkością postępujący w naszą stronę. Zimny dreszcz mnie przeszedł, zrozumiałem bowiem, że to artylerja. Niebawem przecucie moje sprawdziło się, gdyż rosyjskie armaty, rozwinąwszy się łańcuchem, wpadły na nas, a za chwilę dał się słyszeć turkot i loskot, połączony z jękiem tych rannych, którzy żyli jeszcze, a teraz gnieceni kołami i kopytami, oddawali ostatnie tchnienia. Dwa konie, przedni i dyszlowy prawej strony, przeskoczyły przezemnie, jednakże tylne koło wjechało mi na piętę, omal nie druzgocząc jej zupełnie. Szczęściem i cudem ocalony, spojrzałem w stronę porucznika, z którym rozmowę prowadziłem przed chwilą. Przeczuł on swoją śmierć, gdyż leżał teraz ze zmiażdżoną głową.

Walka w tej okolicy, gdzie leżałem, ucichła zupełnie, natomiast na południowej stronie były armaty ze zdwojoną siłą.

Tak upłynęło pięć godzin, a od chwili szarży byliśmy bez opatrunku, dopiero pod wieczór mimo ciągłego ryku armat, do uszu moich doleciał głos dzwonka, a w szarej pomroce wieczoru zacząłem odróżniać od padających cieni kapelana naszego pułku, śpieszącego z ostatnim zasiłkiem na drogę wieczności; za nim postępowała siostra miłosierdzia i komisja sanitarna.

Ranni jęli dawać oznaki życia, każdy, zebrawszy resztki sił, błagał o pomoc.

„O Boże, Boże! jak cierpię, dobijcie!” — błagały głosy na pobojuwisku. Byli tu przeważnie tacy, którzy przez całe te pięć godzin oczekiwania na opatrunek wili się w boleściach, pelzając po trupach.

Straszny był też obraz tego pobojuwiska: tam koń zad wlecze za sobą, idąc na przednich nogach; tam nawpół poszarpane ciała rękami konwulsyjnie drapią ziemię, a tam znowuż rozlegają się komendy jakiegoś oficera, leżącego w malignie. Nareszcie zrobiło się zupełnie ciemno. Huk armat i innej palnej broni ucichł zupełnie, na całym terytorjum walki zapanował spokój, spokój zupełny, tylko stado kruków ze złowrogim krakaniem unosiło się nad pobitymi,

tylko latarka kapelana świeciła co chwila w innym miejscu tego obrazu śmierci, tylko słowa „Boże, bądź miłościw,” wymawiane przy spowiedzi, dolatują do moich uszów, i tylko wyrazy rozgrzeszenia i rozmowa sanitarjuszów im wtórują.

Czekałem czas jakiś aż światło latarki do mnie się zbliży: czułem potrzebę rozmowy, czułem, że bez pocieszenia rozpacz mnie ogarnie, czułem, że w takim zostając stanie — umrę. Na szczęście, w kilka chwil później zaniesiono mnie do wozu szpitalnego, który prawie już przeładowany, ruszył ku południowej stronie pobojuwiska.

Przykro mi było rozstać się ze swoim koniem, który nie tylko że jeszcze nie zdechl, ale nawet skubał trawę, rosnącą koło niego, a zobaczywszy, jak mnie zabierali—zarżał. Kazałem sanitarjuszom zabrać zwierzę, którzy wprawdzie niechętnie spełnili moje życzenie.

Była godzina pierwsza, gdy szpital stanął w nawpół spalonej wsi Pasażewo. Tu w chałupie pomieszczono część rannych, a także i mnie, poczem chirurdzy przystąpili do operacji wyjmowania kul i opatrunku ran.

Gdy tylko pozbyłem się ołowiu, zająłem najlepsze miejsce w chałupie na tak zwanych „ruskich pałatiach.”

Już powieki po całodziennych trudach i cierpieniach zamykały się do snu, gdy nagły odgłos bębnow zupełnie mnie wytrzeźwił. Zapytałem dyżurującego kaprała, coby to znaczyło? „Dwunasty pułk piechoty polskiej wychodzi na pozycję, Wasza Mość” — była odpowiedź. — Jakże to, mówię, więc bitwa wczoraj nie skończyła się? — „Musi nie, Wasza Mość, odrzekł kaprał, skoro nasi stanowiska zajmują. Wczoraj co prawda, ciągnął dalej kaprał, walcząc pod skrzydłami 5-go korpusu, dowiedziałem się od Jego Mości porucznika Rogozińskiego, że nasi wszędzie górą, ale francuskie oddziały, tam hen w głównej bitwie, podobno trochę po kłębie dostały. przeto ma się bitwa z pewnością i dziś jeszcze toczyć.” Ledwo skończył to mówić, gdy porucznik tego pułku wszedł do izby z oznajmieniem: — „Rannych pakować do drogi, wieś zagrożona artylerją rosyjską, która ogień w tę stronę kieruje.”

Tak w obecnej chwili było mi dobrze na piecu i taka obojętność mną opanowała, że nie

kazałem się ruszać, co też i uczyniono dla oficera, ale rannych żołnierzy wyniesiono wszystkich z izby.

Na dworze nastąpiła cisza grobowa, tak jak to bywa przed wielką burzą; lecz zaledwie świtać zaczęło, ziemia znowuż zatrzęsa się, resztką szyb, jakie znajdowały się w oknach chałupy, wyleciała z brzękiem, a po izbie rozszedł się zapach spalonego prochu. Huk i trzask wzmagił się z każdą chwilą. Mimo przyzwyczajenia do tych hałasów, jednakże dość silne wrażenie sprawiły mi przelatujące granaty nad dachem chałupy, lub też pękające na jej podwórku.

Po jakiejś godzinie syki granatów ustaly; salwy karabinowe trwały jeszcze, lecz widocznie w inną zwrócone zostały stronę.

Pod wieczór znowuż zapanował spokój. Zasnąłem i spałem, nie wiem jak długo. Gdy się obudziłem, spostrzegłem, iż około mnie na „pałatiach” leżał trup jakiegoś podporucznika z 12-go pułku piechoty. Zdziwiony powiodłem oczami po izbie, by się przekonać co to miało znaczyć. Zimny dreszcz mnie przeszedł: na podłodze, jeden około drugiego, leżeli świeżo ranni w strasznych cierpieniach, tak ściśle, iż widać

ten co ich tu układał, myślał także, by sam miał się gdzie położyć i jakoż pod samą ścianą zobaczyłem odwróconego twarzą, smacznie chrapiącego sanitariusza.

Na „pałatiach” zrobiło się ciasno i nieznośnie. Trup był cały jakby wymalowany na czerwono. Urwana widocznie granatem dolna szczeka przedstawiała okropny widok. Byli to pobici w drugim dniu walki, to znaczy 7-go września.

Niepodobieństwem było towarzyszyć swemu sąsiadowi, zacząłem złazić z pieca, ale osłabiony i wyczerpany spadłem raczej z niego niż zszedłem.

Ranni, zobaczywszy że się ruszam, taki o wodę podnieśli lament, podobny do wycia, iż co prędzej, nie mogąc tego znieść, na czworakach maszerując po leżących na podłodze, za drzwi chałupy zmykałem.

Powietrzem nieco ocucony, popelzłem na ulicę wsi, gdzie oddziały różnego wojska naszego odpoczywały po trudach walki. Zobaczywszy mnie, zerwali się na równe nogi, prezentując karabiny; widocznie karność dla oficera, chociaż prawie niedołęznego, nie uleciała od nich,

szacunek dlań czuli wysoki. Zaraz też kazałem kilku, iżby nabrawszy wody, zanieśli rannym, poczem zapytałem, gdzie złożono rannych oficerów.

„Do izby na drugim końcu wsi, Wasza Mość”, brzmiała odpowiedź. Kazałem się tam prowadzić. Wkrótce potem stanąłem u celu. Nie było tu nikogo poważnie chorego i humor panował niezwykły. Jedni przyrządzali doskonały krupnik, inni krajali mięso. Dosyć, że choć nie zastałem tu nikogo z naszego pułku, przecież pomiędzy tymi oficerami różnej broni ubawilem się i wywczasowałem przez kilka godzin doskonale.

Osiem dni trwały potyczki, choć niewielkie, w różnych stronach około Moskwy, aż nareszcie dnia 15-go września stanęliśmy pod jej murami.

Pierwsze straże francuskie musiały stoczyć jeszcze małą utarczkę z zamkniętymi obrońcami Kremla. Po kwadransie wyrugowano ich stamtąd, poczem rozległy się sygnały i w kolumnach plutonowych, z muzyką na czele wkroczyły najpierw pułki piechoty francuskiej, a za nimi dopiero inne wojska.

Dość przyjemne na mnie wywarła wrażenie ta stara stolica carów. Liczne kopuły cerkiewne rzucały odbłask przy świetle pięknego dnia letniego.

Szpital nasz zatrzymał się przed domem, w którym, prócz żywności, znaleźliśmy wszystkie niezbędne zapasy. Mówiono, że w niektórych domach znajdowały się całe gotowe apartamenty, które niezwłocznie zajmowała starszyzna.

Nie pamiętam nigdy przyjemniejszej chwili w swem życiu, jak gdy przy palącym się na kominie ogniu zasiadłem z kolegami. Żartom i konceptom końca nie było, a gdy wieczorem prawie wszyscy porucznicy i podporucznicy 6-go pułku zgromadzili się do nas, tak dalece zapomniałem o ranach, iż do tańców, jakie tu urządzono, z ochotą należałem.

Było dosyć wesoło, sporo miodu, wina, likierów, ciast rosyjskich, wreszcie złota, kosztowności wszelkiego rodzaju, których każdy żołnierz zabierał sobie ile tylko chciał, ale na nie szczęście nie było chleba ani kruszyny. Wszystka mąka, znajdująca się w zapasach, zjedzoną została. Mięsa wędzonego i suszonych ryb mieliśmy

wprawdzie pod dostatkiem, ale od tego prowiantu chorowali żołnierze, zdarzyły się nawet wypadki śmierci; przeto, mimo nieraz wielkiego nań apetytu, omijaliśmy je ze strachem. Za ledwie od-poczęliśmy godzin kilka, gdy w tem rozległy się głosy „gore! gore!”

Ogromnie przygnębiające wrażenie wywarło na mnie, gdy ujrzałem te gmachy wspaniałe z licznymi apartamentami, te pałace i cerkwie ze złożonemi kopułami, zasłonięte czarnym dymem, a później w płomieniach, którym towarzyszył i sprzyjał silny wiatr. W nocy 15-go na 16 wybuchnął pożar w pobliżu Kremła; wszelkiemi siłami starano go się stłumić, lecz już o godzinie 6-ej szalał z niczem niepowstrzymaną siłą.

Pałac, w którym stanąłem z oficerami naszego pułku, został jednocześnie podpalony w kilku miejscach, trzeba więc było jak najprędzej opuścić to miejsce. Lecz gdzie się udać? Zewsząd kłęby dymu uderzały prosto w oczy i zewsząd gorące powietrze piekło nieznośnie, cała bowiem ulica, gdzie zajmowaliśmy kwaterę, gorzała, nie dając sposobu wyjścia.

Z trudem opuściwszy to piekło, wyostałem się ze swymi kolegami na olbrzymi plac, na

którym^o było i bezpieczniej i chłodniej. Szalony ogień trwał prawie do dnia 22-go września, poczem zaczął ustawać, ale wtedy, gdy z domów same tylko prawie sterczały kominy.

Cesarz Napoleon kazał robić przygotowania do przezimowania w tak zrujnowanej stolicy, sądząc że pokój niedługo zostanie zawarty. Działania wojenne zostały zawieszono, jakby skutkiem zawartego rozejmu, i ograniczyły się ze strony Napoleona na zasięganiu wiadomości o kierunku, w jakim Kutuzow z wojskiem swoim ciągnął. Ten bowiem nowy wódz został obrany na miejsce przezornego Barklaja, który dla tego nie podobał się narodowi rosyjskiemu, że długo mitrężył, nie chcąc dać stanowczej bitwy, którą dopiero Kutuzow wydał pod Borodinem.

Dnia 26-go września otrzymał Napoleon wiadomość o ruchu nieprzyjacielskiego wojska i zaraz Murat posunął się za rosjanami ku miastu Podol i wsi Krasno Pachra. Wielki cesarz francuski ciągle łudził się nadzieją, że cesarz Aleksander zmuszony przyjmie warunki, jakie on mu narzucić zechce, ale, niestety, monarcha ten choć młody, jednakże przezorny, łudził Napoleona zawarciem pokoju i marudził do tego

czasu, aż odwrót był nam zupełnie zamknięty.

Smutno, głodno, wreszcie chłodno i do domu daleko ogólnie dawało się uczuć coraz dotkliwiej, a tu znikąd promyka nadziei lepszego losu.

Pod koniec września przyszedłem prawie zupełnie do zdrowia, tak że znowuż wróciłem do szeregów, a dnia 29-go zostałem pod wieczór wezwany do kwatery cesarza Napoleona. Łatwo zrozumieć, jak ta wiadomość ucieszyła mnie, nie miałem żadnych na sobie win, więc też mogłem oczekiwać tylko nagrody. Jakoż wistocie, gdym tylko stanął przed monarchą, wnet też obecni generałowie polscy, wskazując na mnie, rzekli: „Idzie bohater zdobycia dział.”

Teraz dopiero dowiedziałem się, że umiejętnem utrzymaniem stanowiska pod wsią Pasazewo, stałem się przyczyną odebrania zdobytych przez nieprzyjaciela dział podczas bitwy boro-dińskiej. Na stole obok cesarza leżał krzyż legji na pięknej wstędze. — „Ile ran?” zapytał mnie cesarz po francusku. Nie interesowałem się nigdy tą wiadomością, przeto po niejakim dopiero czasie, gdym wszystkie w pamięci zliczył, powiedziałem, iż pięć od kul i trzy od szabli.

Dalej zapytał mnie cesarz, „jak obecnie zdrowie?” — Zupełnie dobrze Wasza Cesarska Mość — odrzekłem. Udano się ze mną na plac, gdzie stał nasz pułk. Tu odbyła się uroczystość przypięcia mi orderu, jak również dwu porucznikom i kapralowi, któremu kula armatnia oderwała prawą nogę.

Po skończonych honorach tej uroczystości, Napoleon powtórnie przywołał mnie do siebie i rzekł głosem poważnym, wskazując na południe: „Tam znajduje się 5-ty korpus, muszę wiedzieć, co robi i co robić zamierza. Wiadomość tę dasz mi, poruczniku, jak najprędzej.” Poczem, obróciwszy się plecami do mnie, zaczął rozmowę z jakimś generałem francuskim.

Już było przed samym wieczorem, gdy mój rozkaz ten otrzymał. Gniadosz mój nie był jeszcze o tyle rzeźkim, iżbym mógł na nim pojechać, to też, zabrawszy sześciu ulanów, na pułkowym koniu wyjechałem z Moskwy. Trzy godziny jazdy prostą drogą zaprowadziłyby mnie do wskazanego celu, ale niestety po drogach wszędzie jeździły mniejsze i większe oddziały rosyjskie, tamując drogę memu rekonesansowi.

Wjechaliśmy w ciemny las, który należało przebyć, by znaleźć się mniej więcej na drodze do Kaługi.

Gdy tylko zmrok zapadł zupełny, ruszyliśmy dobrego klusa. Po godzinnej jeździe zauważyłem, że jedziemy zanadto prostą drogą, w obawie więc, iżby to nie był jakiś boczny trakt, wykręciłem wprawo, lecz tu gęsto rosnące drzewa opóźniały drogę. Zwolna jadąc, kazałem uważać ułanom na wszystkie strony, by przypadkiem w jaką zasadzkę nie wpaść, co sprawiło, że w chwilę później doleciały do nas jakieś głosy, których jednak z oddali nie można było zrozumieć. Przypuszczając, iż to muszą być rosyjskie, gdyż francuzów, ani polaków jeszcze nie należało się spodziewać, kazałem podwoić uwagę i jechać za mną noga za nogą. Tymczasem owe głosy coraz wyraźniej dały się słyszeć. Rozmawiano po polsku, zatrzymaliśmy konie i słuchamy. Jakiś znajomy głos mówi: „A szlagby trafił tę Moskwę, dojechać do niej nie można.” „Bo pewnikiem nigdy nie dojedziemy,” odpowiedział drugi głos, „boć podobno, jak mówili w karczmie, nasi na postoju kartofle w jej popiele pieką, a dla ciepła, jakie tam panuje, sam

Lucyfer z piekła się sprowadził. Śmiem więc donieść Waszej Mości, że ten chłop, co nam drogę pokazuje, to musi być strasznie święty, bo do onego piekła doprowadzić nas jakoś nie może, trzeba będzie go widać po suchej gałęzi do nieba odesłać."

Odrazu poznałem głos Cygana, jakoż wistocie, gdy m kazał zapalić pochodnie i podjechać ku prowadzącym rozmowę, zobaczyłem porucznika Antonowicza, kolegę jeszcze z czasów kaddeckich, Cygana i kilku ułanów 2-go pułku. „No, no, rzecze Antonowicz, prędejbym się spodziewał, że nas gdzie w drodze kruki zdziobią, jak tego, że Waści zobaczę, nie tylko tu w lesie, ale wogóle po bitwie borodinskiej.” Nastaly ogólne powitania i rozmowy, z których dowiedziałem się, iż Antonowicz podążał z okolic Bobrujska z raportem generała Dąbrowskiego do cesarza Napoleona i że, naogół biorąc, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie głód, który im dokuczał, gdyż chłopstwo zabiera z sobą pozostałe gdzieniegdzie zapasy żywności, kryjąc się z nimi po lasach. „1-szy i 14-ty pułk naszej piechoty zasłużył sobie na nieśmiertelną sławę, ciągnął dalej, a i o pułku 2-gim ułanów też nie

brak w raporcie pochwał i przedstawień do krzyża legji.”

„Ale pomimo to złe jeszcze nowiny wiozę w tym raporcie, gdyż podobno armja Czyczagowa połączyła się z korpusem Tormasowa, co grozi armji francuskiej przerwaniem komunikacji z Księstwem Warszawskim wzdłuż Niemna i Bugu. Armja rosyjska, z tych dwóch korpuserów złożona, liczy 64000 regularnego wojska, z którym się korpus Szwarzenberga, z 41000 ludzi złożony, mierzyć nie mógł.

Doszły nas również wiadomości sztafetami, jakoby Szwarzenberg 21-go września cofnął się ku Lublinowi i zmienił nagle kierunek w stronę Brześcia Litewskiego. Wszystko mi się zdaje, że to jest tylko zwykła niemców robota, niebardzo sprzyjających Napoleonowi, gdyż siła ich na niego zęby ostrzy różnemi spiskami przeciwdziałania.

„Mój Boże kochany, mówił dalej Antonowicz, ile to już wyginęło kwiatu polskiego. Ot nawet ja, zabrawszy z sobą dziesięciu ludzi, już tylko sześciu prowadzę, gdyż wczoraj, natknąwszy się niespodzianie na oddział piechoty, czterech jak dęby ułanów straciłem i leży

to biedactwo teraz w polu na pastwę wron i kruków.

Trochę jeszcze porozmawiawszy, wskazałem im drogę do Moskwy, poczem, dawszy koniowi ostrogę, by wyrównać stracony czas, odjechałem w stronę wojska księcia Józefa, które dopiero 5-go dnia po wyjeździe z Moskwy znalazłem w Woronowie.

Tego samego dnia, mimo że było już późno, prosiłem zaraz posłuchania u księcia, który też niezwłocznie kazał mnie wpuścić. Pytał księżę którędy jechałem i gdy mu opowiedziałem, dziwił się, iż nie wpadłem w ręce nieprzyjacielowi, wszędzie te drogi i pola zajmującego; poczem usiadł do raportu wraz z księciem Sułkowskim. Po pół godzinie raport został napisany i zapieczętowany, a kopję jego dano mi oddzielnie, tak ażebym jadąc uczył się tego co było napisane, abym w razie jakby rosjanie drogę mi przestąpili, ów oryginał zniszczył wraz z jego kopją, a w pamięci na wszelki wypadek raport zachował.

Brzmiał on jak następuje:

„29-go września otrzymał 5-ty korpus rozkaz cofnięcia się do Czerykowa, wsi na drodze

z Moskwy do Kaługi. O 11-ej z rana postąpiły w tym kierunku przednie straże z 6-ma działami. Po rozproszeniu małego oddziału kozaków, gdy wojsko weszło na równinę pod tąż wsią, lasami opasaną, spostrzegło jazdę nieprzyjacielską w przemagającej sile, gotową do boju. Polska jazda uszykowała się dwoma szeregami, pod wodzą generała Lefebre Docenotte, a gdy artylerja konna pędem naprzód postąpiła, uderzył nieprzyjaciel na 12-ty pułk ułanów i szwadron 5-ty szaserów konnych, którzy odparli ten napad.”

„Gdy piechota polska wychodziła z lasu, rozwinęła się z drugiej strony piechota rosyjska, chcąc utrzymać stanowisko. Książę Poniatowski wysłał bataljon na zdobycie wsi Czerykowa, krórá rosjanie spalili przy cofaniu się z niej. Gdy polska piechota rozwinęła się pod lasem i artylerja w środku ognia dawać zaczęła, uderzył na nich nieprzyjaciel 3-ma pułkami jazdy, który to napad przez księcia Sułkowskiego odparty został. Wtenczas dopiero nieprzyjaciel rozwinął i użył przemagających sił swoich, aby wyprzeć polaków z wsi i lasu. Po kilku napadach, napróżno uczynionych, kazał książę Poniatowski iść na bagnety piechocie i posiłkować ją

trzema szwadronami jazdy. Nastąpił bój krwawy, ogień trwał od ósmej wieczorem, polacy utrzymali się na brzegach lasu. Przez ciąg tej walki na lewym skrzydle wstrzymał mężnie Tyszkiewicz z brygadą jazdy kilkakrotne napady 3000 nieprzyjaciół i ogień 10-ciu armat, nie ustąpiwszy i piędź ziemi”.

„Walka trwała całą noc i deszcz ją skończył”.

Pomimo iż dzielni wodzowie ciekawi byli, co się dzieje w okolicach Bobrujska, jednakże kazali mi jak najprędzej wracać do Moskwy. Opuściłem też Woronów w nadziei, że powrotną drogę również bezpiecznie przebędę. Lecz niestety, zaledwie znajoma droga leśna miała się ku końcowi, rzucając w oddali słabe promyki światła dziennego z pomiędzy drzew, gdy nagle dał się słyszeć tentent kopyt końskich, pomieszany z okrzykiem „dierży”. Byli to kozacy. Jadącego wprost na mnie ich chorążego zraniłem wystrzałem z pistoletu w głowę, następnie, dawszy koniowi ostrogę, próbowałem ucieczki. Ułani zwarli się za mną i tak co koń wyskoczy kupą jadąc staraliśmy się przebić, lecz ucieczka stała się próżną. Oddawszy dokumenty raportu ja-

dącym za mną ułanom, którzy w jednej chwili, wiedząc o co chodzi, rozsypali się na wszystkie strony, zaczęliśmy kolejno nacierać na gęste kupy kozaków. Chciałem śmierci, chciałem jej koniecznie, ale nieprzyjaciel, poznawszy oficera, mniej zwracał uwagi na ułanów, starając się zabrać mnie do niewoli.

Trzech ułanów, jeden za drugim, zginęło w odmęcie walki, lecz na szczęście trzech z dokumentami gdzieś przepadło.

Ubito mi konia, a przyparty ze wszech stron, pikami w kilku miejscach poraniony, upadłem.

Jak stado kruków na końską padlinę, tak rzucono się na mnie, poczem, związawszy mi ręce, posadzili na konia, uwożąc ze sobą.

Późną dopiero nocą oddział zatrzymał się wraz ze mną nad brzegiem lasu, w niewielkiej wiosce, strzeżonej przez trzy seciny kozaków. Zaraz stawiono mnie przed jakimś oficerem kozackim, który chciał się czegoś dowiedzieć ode mnie, ale z góry go uprzedziłem, iżby się nie trudził, gdyż słowa prawdy mu nie powiem, co gdy usłyszał wydał wyrok, by mnie powieszono.

Był już wieczór i wykonanie wyroku odłożono do dnia następnego.

Ciemny jakiś chlewik, napełniony prawie do połowy gnojem, miał mi służyć za apartament ostatniej przedśmiertnej nocy. Tu rozlokowawszy się, zacząłem wyglądać na podwórko przez szczeliny chlewa. Nagle dostrzegłem, iż przed dom, gdzie mieszkał ów oficer, który mnie na karę śmierci osądził, zajęchało kilkunastu kozaków, prowadząc oficera kirasjerów polskich 14-go pułku. Dzięki Bogu, pomyślałem sobie, we dwóch raźniej będzie. Jakoż niezwłocznie wpakowano go do mego salonu.

Zobaczywszy mnie, kirasjer zdziwił się bardzo. Był to zasłużony major, stary wyjadacz wojenny. Nie znaliśmy się wprawdzie osobiście, ale wiele o nim słyszałem, więc też zamiast martwić się wyrokiem, zmówiliśmy pacierz i dawaj opowiadać sobie zdarzenia wojenne.

W bitwie pod Możajskiem pułk 14-ty kirasjerów z dowódcą Małachowskim brał świetny udział w wiekopomnych szarżach na zorane przez artylerję reduty rosyjskie.

W raporcie pułkownika Małachowskiego nie było ani jednego oficera, któryby nie był ranny,

zabrano wtedy 300-tu jeńców i kilka armat. To też gdy tak nawzajem opowiadaliśmy sobie, a major doszedł właśnie do miejsca ataku kirasjerów, nagle powstał i tak mówić zaczął: „Trzeba waści wiedzieć, iż pod Możajskiem krwią własną podpisaliśmy ugodę ze śmiercią, gdyż niema w pułku naszym żołnierza małego ducha”. „Jedziemy, ciągnął dalej major, pomiędzy jarami na czystą polanę po rozkaz, wtem słyszymy, szanowny jegomościu: „Trat ta ta tara ta, w dobrej wierze zdychaj karasjerze.”

„Kupami po dwudziestu ruszyliśmy na rosyjskie baterje i redutę, bo to musisz przyjąć do uwagi, szanowny poruczniku, że my, kirasjerzy, tak zwykli atakować dla ciężkiej broni, jaką jesteśmy odziani.” „Mój Ty Boże, i moiści Wszyscy Święci z Archaniołem na czele, jak nie zadudni ziemia, jak nie rozlegnie się głośnie „niech żyje Napoleon Bonaparte”, jak nie parskną szkapska rozwartemi nozdrzami i jak nie pójdą palasiska do roboty na prawo i lewo, tak w kilka migów pomieszawszy szeregi nieprzyjacielskie, niby grochl z kapustą, wszystkich dopięliśmy celów i choć kilkunastu kirasjerów przyjęło chwalebną śmierć, przecież dziesięć razy tyle zabraliśmy jeńca i dzie-

sięć razy tyle trupa na miejscu położyli. Chwała, chwała niech im będzie, wiernie wypełnili powinność swoją.”

— No, ale koniec końców, zagadnąłem majora, coraz to gorzej na tym terytorjum wojny i kto wie czym się skończy ta nasza wyprawa, gdyż i są tacy, którzy nam zagładę przepowiadają. „Takich niech kaczki zdziobią!” — odparł major, jednakże zamyślił się głęboko i po chwili dopiero dodał: „Sami nic nie zdziałamy, a to różne sprzymierzone świństwo, to prawdę powiedziawszy tylko przeszkadza, a kto wie, czy i nie szkodzi pokaźnie, nasi zaś bohaterowie francuzi zaczynają jakoś całemi kupami placu nie dotrzymywać i coraz mocniej krzywić się i narzekać”. „E piesby z niemi tańcował, ciągnął dalej major—i czego to takie zdechlaki przywędrowały tak daleko, nam tylko głowę zawróciwszy. Oczywiście rzecz, że teraz należy ratować i za wszelką cenę bronić tych pantoflarczy, ale widzi mi się, że na nic sprawę przegramy z nimi. Napoleon, pan to co prawda, w Europie dobrze znany, jednym więc poruszeniem dobrymi wojskami do pokory wszystkich zmusić może, ale jakoś ta gwiazda, co mu tak świeciła dotych-

czas, ciemnieje teraz coraz więcej, rzucając także złowrogi cień na ukochaną naszą ojczyznę.”

Tak przegawędziliśmy kilka godzin, chwilkami jednakże wpadając na domysły względem losu, jaki miał nas spotkać. Nie myślałem o śmierci, lecz bałem się, by nas przed nią nie męczono.

Noc choć ciemna i ponura, miała w sobie coś uspokajającego, gdyż przycupnąwszy do kątown chlewa, zaczęliśmy drzemać. Pierwszy chrapanął major, poczem i ja zasnąłem.

Zimny wiatr, przedzierający się przez szczeliny chlewa, zbudził nas już około godziny 6-tej. Niemalø zdziwieni, że do tego czasu znajdujemy się pomiędzy żywem, zaczęliśmy wyglądać na podwórze. Tam czyniono jakies przygotowania, ładowano wozy, siodłano konie, słowem wszystkie te ruchy zapowiadały prędko jakiś odjazd.

Wczoraj wieczorem, gdy nas tu zamknęli do owego chlewa, słyszeliśmy kroki pilnującego nas kozaka, dziś zaś cisza panowała nawet w pewnym oddaleniu od nas. Podąłem majorowi projekt sprobowania ucieczki przez wyważenie drzwi, ale te nadto były silne i wysiłki nasze nie dawały żadnych rezultatów.

Gdy tak pracujemy, myśląc o wolności, do chlewa zaczęły zbliżać się jakieś kroki. Zatailiśmy oddech, myśleliśmy bowiem, że przyszła już ostatnia godzina, lecz jakież było nasze zdziwienie, gdy zamiast groźnego kozaka, ujrzelśmy chłopca rosyjskiego nie mniej zdziwionego. Z jego klątwy i mruceń zrozumieliśmy, iż wczoraj jeszcze przed wieczorem był posiadaczem dwóch wieprzów, które dziwnym sposobem w nocy przyjęły nasze postacie. Miałem w kieszeni kilkanaście rubli, ocalone nie wiem dla jakiej przyczyny podczas wczorajszej detalicznej rewizji, niewiele myśląc, podałem je chłopcu, wynagradzając mu stratę. Ten, skłoniwszy się nisko, złapał je chciwie, otwierając chlew z pełnym uszanowaniem.

Zwykle takich gapiów Opatrzność zsyla w krytycznych chwilach podczas wojny.

Korzystając z okazji, za kilka minut byliśmy w lesie, a za dwa dni, to jest dnia 10-go października, idąc różnemi manowcami, dotarliśmy napowrót do Moskwy, gdzie niezwłocznie zdałem raport generalowi dywizji o całym przebiegu załatwionej przeze mnie sprawy.



IV.

Głód wisiał nad nami, to też ustąpienie z Moskwy było nagłą sprawą dla Napoleona, połączoną ze wstydem, na jaki naraził się przy takim przebiegu rzeczy. Usiłowano co prawda ten wstyd ukryć; nie tylko pomiędzy armją, ale nawet pismami publicznymi, do których fałszywi

korespondenci wojenni o działaniach i dalszych zamiarach Napoleona donosili.

Roznosiły się więc pogłoski, że dotychczas prowadzona wojna bynajmniej nie przedstawia nic groźnego i zamiarów Napoleona nie psuje i że, wysadziwszy fortecę Kremlin, Napoleon uda się w stronę Polski dla zajęcia leż zimowych. Lecz, niestety, ciepło odziane i niegłodne armje Witgensztejna i Czyczagowa, stojące w tych stronach, zupełnie temu przeszkadzały.

Po przyjeździe do Moskwy dowiedziałem się, iż Antonowicz i Cygan, oddawszy raport, w dwa dni później w odwrotną drogę pod Bobrujsk ruszyli.

Dnia 16-go października naznaczony byłem do objechania miasta i zdania o tem odpowiedniego raportu. Gniadosz mój od kilku dni pełnił już służbę. Koń dobry podczas wojny niezbędny dla żołnierza, a ileż razy ratuje go w niebezpieczeństwie, o czem świadczy choćby następujące zdarzenie. Wziąwszy jednego tylko ułana, pojechałem wypełnić dany mi rozkaz. Nie ujechałem i 2-ch wiorst od miasta, gdy wtem raptowne zatrzymanie się gniadosza i chrapnięcie kazało mi zwrócić na niego uwagę.

Przezorność radziła wykręcić więcej w stronę miasta, gdyż w takich razach często czyha nieprzyjaciel ukryty, ale chcąc ściśle wypełnić złożony na mnie obowiązek — jechałem prosto. Nagle znowuż koń przystanął i iść naprzód nie chciał, dopóki nie zmusiłem go ostrogą, lecz zaledwie kilka ujechałem kroków, rozległy się strzały, skierowane w moją stronę. Jedna kula trafiła towarzyszącego mi ułana w obojczyk, a druga mnie w nogę. Rzuciliśmy się do ucieczki. Koń mój pędził jak strzała i ocalenie zdawało mi się narazie być pewnym, zwłaszcza, że to piechota mnie zaalarmowała, ale, niestety, ból dotkliwy w nodze pozbawił mnie równowagi i runąłem na ziemię. Rozpędzony koń pobiegł dalej, a kilku żołnierzy z nieprzyjacielskiego oddziału puściło się do mnie.

Tymczasem gniadosz zatrzymał się i wrócił na miejsce, gdzie został jego gospodarz.

Do cudów doprawdy zdarzenie to należy zaliczyć. Koń mój, przybiegłszy do mnie, zaczął obwąchiwać mi twarz, z czego skorzystawszy wsiadłem na niego powtórnie i zostałem ocalony. Kula nie zaczepiła mi kości, jednakże na wylot

przeszyła łydkę. Ułan mój zdołał taksamo umknąć.

Niezwłocznie po tym wypadku dałem znać do sztabu, że nieprzyjaciel blisko miasta podchodzi. Z tego powodu wykryto parę rot piechoty nieprzyjacielskiej, które porządnie poturbowano.

Dnia 17-go października byłem prawie z bólu, jaki sprawiała mi rana w nodze i pierwszy raz po wyjeździe z Polski zapragnąłem oglądać rodzinne progi, ale, niestety, pragnienie to stało się nieprawdopodobnem. Cesarz Napoleon otrzymał stanowczą teraz odpowiedź cara Aleksandra, iż na żadne układy z Francją nie przystanie i nie położy broni dopóty, dopóki ostatni najeźdnik nie opuści granic Rosji. Te pocieszające wieści odebrałem właśnie, gdym rozmyślał przy palącym się ogniu na kominku o możliwości zawarcia pokoju na dogodnych warunkach i zobaczenia granic ukochanej Polski.

Nazajutrz 18-go października kilka wystrzałów armatnich oznajmiło o wymarszu wojsk Napoleona z Moskwy. Sto parę tysięcy ludzi wszystkich wojsk sprzymierzonych opuściło to miasto. Armia ta, odziana lichu, o głodzie

i chłodzie, miała spotykać liczne armje rosyjskie, gdyż sam Kutuzow posiadał wtedy 110000 pod swoim dowództwem, z któremi postanowił ścigać i niepokoić francuzów.

W pierwszych zaraz dniach po opuszczeniu Moskwy dostałem wezwanie na tymczasowego adjutanta generała dywizji Fiszera. Był to co-prawda wielki dla mnie honor, ale dostępując tego szczęścia, bałem się bym mógł należycie wypełnić swoje obowiązki.

Znowuż nastalo dość trudne zadanie dla mnie przy odszukaniu 5-go korpusu i połączeniu się z nowym swym panem, tak zasłużonym na wojnie. On jako generał sam nieraz osobiście walczył w szeregach narówni z prostemi żołnierzami, on darł sobie włosy na głowie, gdy widział niepowodzenie w swej dywizji, on wreszcie godzinami klęczał w namiocie, błagając Boga o ratunek Polski.

Odwrotna droga wypadła nam na Woronów, gdzie spotkaliśmy silną armję Kutuzowa.

Przed samą bitwą generał wezwał mnie do siebie dla oddania mi niektórych rozkazów co do ataku na boczne straże rosyjskiego wojska,

ta bowiem strona ataku powierzona była memu generałowi.

Zagrały ze wszech stron sygnały, rozległ się ogłuszający huk, którego echo żalonym jękiem odbiło się o sąsiednie lasy i bitwa się zaczęła. Sprawa niełatwa, należało bowiem w trakcie bitwy przejechać linię ognia dla wręczenia rozkazu pułkownikowi 1-go pułku piechurów Hoffmanowi. Lecz trudno, niejedno się poświęca, nie ostatnie też zlecenie miałem wykonać. W trakcie samej bitwy zaczął padać deszcz. Puściłem koniowi cugle i po glińastej drodze ruszyłem galopenem ku swemu celowi. Jadąc spotkałem najpierw bataljon pułku 2-go piechoty polskiej, opierający się całemu pułkowi dragonów. Dzielni chłopcy, ustawivszy się w czworobok, po czterykroć odparli ataki tej kawalerji, której pułkownik, widząc iż nie da sobie rady z niemi, zavezwał siedem dział 13-ej konnej artylerji rosyjskiej. Ze spokojem na twarzy przyjmował bataljon śmierć od pękających kartaczy.

Jakiś młodziutki ochotnik tego ginącego bataljonu, widocznie zraniony, szybko opuścił czworobok i pobiegł do rowu, napelnionego

wodą. Ponieważ straszny zapanował ogień tak karabinowy jako i armatni, przystanęłam więc na chwilę, mając czas przypatrzeć się przebiegowi tej bitwy.

Ochotnik ów stał w rowie, nabierając wodę czapką i lejąc ją sobie na piersi w otwarty mundur. Zobaczywszy mnie, zaczął błagać. „Panie! panie! ratuj mnie pan;” „matka moja! matka moja! o jakże ja widziećbym ją chciał jeszcze.” Ochotnik ten nie miał więcej nad lat 16-cie, mała dziecinna prawie jeszcze twarz krzywiła mu się konwulsyjnie ze strachu i bólu, a duże szafirowe oczy błagały pomocy. Zsiadłem z konia i podszedłem bliżej, lecz zobaczywszy krew i dziurę w okolicy lewego płuca, wiedziałem, iż nic z niego nie będzie. Takich przykładów na wojnie bywa tysiące. „Więc żyć nie będę, panie poruczniku?” wyjąkał. — Ależ będziesz, uspakajałem go, lecz w tej chwili krew buchnęła mu ustami i żywot swój zakończył.

Bataljon ten 2-go pułku, ustawiony w czworobok, nie ustąpił i piędzi ziemi, stał wytrwale do czasu aż przeszła pierwsza fala kul armatnich; poczem z dwoma porucznikami na czele, uderzył bagnietami na grenadjerów Pawłowskich,

w tej chwili idących im na spotkanie, gdy tymczasem dragoni, połączeni z seciną kozaków, uderzyli na ich tyły. Widziałem, jak bataljon wirował pośród tego odmętu. Widziałem, jak jeden stawał przeciwko kilkunastu i słyszałem pieśń „Boga Rodzico Dziewico,” która coraz to cichła, cichła, aż zupełnie zamilkła w pośród kłębow dymu i błyszczącej stali.

Zginął bataljon, tylko ostatni piechór jego, odwróciwszy karabin, kolbą drogę sobie torował, wreszcie i on uległ. Z miejsca walki niby fala morska, odszedł nieprzyjaciel, a ciała konających, niby ryby, siecią na brzeg wyciągnięte, ciskały się na pobojowisku. Mając wolną dalszą drogę, puściłem się po trupach ku pułkownikowi Hoffmanowi. Kilka zbłąkanych granatów przeleciało mi nad głową, ale szczęściem pękały daleko, nie czyniąc mi szkody.

Lecąc jak wiatr, spotkałem na drodze nasz szwadron 5-ty strzelców konnych, który dalszą mi ułatwił drogę. Gdy oddałem raport pułkownikowi, różne opowiadając od generała wskazówki i uwagi, ogłuszający huk armat wznowił się ze zdwojoną siłą i zwarte kolumny piechoty nieprzyjacielskiej oraz rozwinięte łańcuchy ka-

walerji posunęły się w stronę terenu walki, gdzie stała dywizja 1-go korpusu, dowodzona osobiście przez generała Fiszera. Kłęby dymu zrazu zasłoniły walkę, lecz po chwili wiatrem uniesione odsłoniły przerażający widok.

Pułkownik, z którym rozmowę prowadziłem, stanowiąc z oddziałem swoim rezerwę pułków, wiodących bitwę, stał zgodnie z rozkazem, czekając sposobności odparcia ataków nieprzyjaciela, nacierającego na kolumny naszej północnej linii bojowej, lecz widząc próżne oczekiwania, kazał nadstawić bagnety, zmierzając z pomocą. 13-ta baterja rosyjskiej artylerji skierowała do nas ogień, celowany przez nieznośnego Wagwachowa, który rosjanom wielkie przysługi oddawał. Jechałem obok atakującego bataljonu w nadziei, że mnie nie oszczędzą gęsto padające granaty. Urywane ręce, nogi, głowy przelatywały około mnie, a nawet chwilami mózg dzielnych naszych rycerzy obryzgiwał mi twarz i ubranie. Opatrzność doprowadziła nas do głównej bitwy. Tu sądny dzień panował, wpadliśmy w wir walki.

Hoffman szybko wcielił pozostałą część 1-go pułku do pułku 12-go, i ja, zabrany impetem przez nasz pułk 8-my ułanów, stanąłem

u boku Fiszera. W piekielnej szarży opowiedziałem o stanie dywizji na południu i niebezpieczeństwie, jakie nam z tej strony grozi skutkiem ognia rosyjskiej artylerji. „Zaraz zostanie w naszych rękach” ze spokojem odrzekł generał. Tu, odwróciwszy się do pędzącego pułku, krzyknął na cały głos: „Zabrać mi te armaty, lub wydychać wszystkim, dosyć marudzenia!” Po szeregach zagrały sygnały i pułk wykręcił nagle do wskazanego celu. Lecz w tej samej chwili trzask i huk ogłuszył całą linję, w której się znajdował nasz generał. Gniadosz mój upadł, widocznie od wstrząśnienia, gdyż zerwał się zaraz na równe nogi, ale dzielny nasz wódz pochylił się w siodle. Kapitan Siemiątkowski i ja pochwyciliśmy go pod pachy i odprowadzili pod drzewo, znajdujące się w bliskości. Zbłąkany oddział kozaków puścił się do nas, ale po pięciu minutach nad siły wytężonej obrony, odparliśmy ten atak, z wielkimi stratami dla nich, mimo że tylko 30-tu naszych kawalerzystów nam towarzyszyło, gdyż reszta pułku, nie zatrzymując ataku, poszła na ziejące paszcze armat.

„Widma, widma, zewsząd widma, jęczał generał. Litości, Książę! ratuj honor, a wy bra-

cia, za mną na redutę! umierać nadeszła pora".
Gdy te urywane słowa, śmiercią wywołane, wymawiał nasz wódz, przytomność na chwilę odzyskał.

„Kto stoi tutaj? zapytał, co stało się z redutą nieprzyjaciela?”. Stała się naszą, odrzekliśmy prawie chórem, gdyż wistocie tak było.

W parę minut potem cicha, krótka modlitwa zakończyła ostatnie słowa dzielnego wodza. Skonał, a dziwny tajemniczy spokój pokrył jego twarz.





V.

Wdalszym odwrocie naszych wojsk zaszły bitwy pod Farutynem i Małojarostawem, tak nieszczęśliwe, iż sam Napoleon o mało nie dostał się do niewoli. Nastąpiły raptownie straszliwe mrozy, podczas których niepodobieństwem było żołnierzom w skostniałych rękach trzymać broń, przytem głód był nieodstępnym naszym towarzyszem.

Kozacy Płatowa ustawicznie niepokoili nas, nie pozwalając wytchnąć ani wzniecić ogni dla rozgrzania zmarzniętych członków. Pomimo to nie chciał jeszcze Napoleon szybko uchodzić na Litwę, aby tam swoje siły skoncentrować. Dumny monarcha nie chciał upokorzyć się przed ścigającym go nieprzyjacielem, aby zbyt nagły odwrót za prostą ucieczkę nie był poczytany.

Całe gromady nie przywykłych do takiego zimna francuzów marzły lub tuliły się nawzajem do siebie, bronieni przez wytrwałych polaków. Błędnie działając z przyczyny nieznośnej dumy, posunął Napoleon swą armję drogą ku Wiazmie, gdzie znów zaszła bitwa ze stratą 4000 zabitych i rannych oraz 1000 niewolników i wielu bagaży.

Byli i tacy pomiędzy naszymi generałami, którzy odgadli Napoleona, poznali się na jego działaniu i gdyby tej myśli posłuchali inni, to jeszcze przynajmniej trzy części krwi polskiej można byłoby uratować, ale, niestety, większość ją kierowało szczerze serce polaka.

Zaraz po śmierci generała Fiszera, zostałem odkomenderowany napowrót do swego pułku, z którym już prawie do końca kampanji losy dzieliłem.

Dziesiątego listopada weszliśmy napowrót do Smoleńska, gdzie Napoleon zamierzał zimować, lecz nieszczęśliwa przeprawa 6-go korpusu przez rzekę Ulop, na której nie można było postawić mostu, stało się powodem straty bardzo wielu ludzi, dział i bagażów.

Utrata całej brygady francuskiej, którą generał Orłow we wsi Laskowa zabrał do niewoli, zmusiła Napoleona do spiesznego opuszczenia miasta.

Teraz przekonał się cesarz francuzów o postępowaniu austriaków, którzy prawie dotychczas nic nie działając pod dowództwem Schwarzenberga drzemali, a następnie bez najmniejszych wyrzutów sumienia do Galicji wrócili.

Tymczasem Mińsk zdobył Czyczagow, skoncentrowawszy siły swoje nad Berezyną, gdzie zaszło kilka potyczek.

Zgłodniałe wojska nasze łatwo rozproszyły się i dopiero w Orszy Napoleon usiłował je zgromadzić. Wychudzony, wygłodzony, z podmrażanemi rękami i nogami dokopałem się przez zaspę śniegu do chałupy wiejskiej, w której prócz kota, operującego po pustych garnkach, nikogo nie zastałem. Wywrócony stół oraz silny zapach spi-

rytusu, pomieszany z dziegciem, świadczył, iż przed chwilą byli tu kozacy.

Głód mi taki dokuczał, że nie wiedząc co robić zbierałem okruchy z chleba, poniewiera-
jące się po ziemi. Nie miałem również żywności dla konia, który, przywiązany przeze mnie u płotu chałupy, wyglądał raczej na szkapę, do hycła pro-
wadzoną, niż na gniadosza, szarżującego w tych okolicach kilka miesięcy temu.

Dziwne uczucie szamotało mną z powodu wycieńczenia. Zamierzałem położyć się, by sił nabrać, gdy wtym przez okno chałupy dostrze-
głem dwóch ułanów naszego pułku, jadących na koniach. Widocznie szukali mnie, bo zoba-
czywszy konia u płotu weszli do chałupy, i jeden z nich słabym z wycieńczenia głosem tak zaczął mówić.

„Wasza mość raczy przyjąć łaskawe wezwa-
nie pułkownika Suchorzewskiego do zajęcia po-
sterunku na ustawionym świeżo moście na Bere-
zynie. Do tego od siebie śmiem dodać, aby
prędzej, gdyż liczni kozacy wraz z dragonami
w tę stronę wałą.” Zebrawszy resztki sił, poje-
chałem wypełnić rozkaz.

Na zasłanej śniegiem ziemi, w oddali zobaczyłem, jak posuwały się groźne kupy nieprzyjaciela. Zająłem stanowisko pomiędzy zakrętami rzeki a wsią. Ułani tłukli ręce po barach, by rozgrzać stygnącą w nich krew i tarli poprzemarzane uszy. Mimo wszystkich tych nieszczęść, które nam tak nieprzyjacieli, jak i nieprzyjazne niebo obficie dostarczało, humor pomiędzy naszymi panował doskonały. Co chwila dolatywały mnie różne żarty i koncepty.

„A co, Pietrek, nie uwierzysz, jakiś ty nieładny, spytaj się kogo chcesz; bieda, bieda, bracie, Maryśka odwróci się od ciebie, gęba ci obrośla, wyglądasz jak zwierz, zęby ci kobyła widać wygwizdała, bo nie możesz tego suchara jakoś pogryźć, daj no go tu, ja ci przypomnę, jakżeś to ty jadał przed wojną.”

„Przypomnij swojemu kuniowi, jakieś razem z nim obrok z torby żarł, odpowiedział drugi głos, tyś się zato wypasł, a kuń ledwo kulosami przebiro.”

Tak dowcipkowano, gdy wtym jak stado ptactwa armja francuska poruszyła się ze swoich miejsc, zaczynając przeprawę. Krzyk, wrzawa, klótnie, klątwy towarzyszyły tym tłumom.

Na lewym brzegu rzeki ukazały się raptownie drugie tłumy wraz z hukiem armat, tym symbolem śmierci, i wraz z zapowiedzianą zagładą tej ledwo na nogach stojącej armji.

Przez licho zbudowany most zaczęło przechodzić najpierw 30 tysięcy ludzi, o rękach i nogach odmrożonych, bez broni, bo i tak użyćby jej nie mogli. Generałowie, pułkownicy, oficerowie, żołnierze kawalerzyści, piechury, maruderzy wszelkich narodowości.

Powstał zgiełk i zamieszanie, podczas którego w jednym miejscu zbyt nagromadzony ciężar spowodował załamanie mostu i śmierć dla kilkunastu tysięcy tej nędzy wraz z bagażami i całym dobytkiem. Gdy most dla kawalerji i artylerji również został skończony, z przeciwnej strony rzeki nieprzyjaciel szykował się do zagłady drugiej części armji. W tej chwili przybył 2-gi i 9-ty korpus pod wodzą marszałka Oudinot i Wiktora księcia de Bellune, jak również dywizja generała Dąbrowskiego, te ratowały od zupełnej zagłady resztki wielkiej niegdyś armji.

Gniadosz mój za nic na most wejść nie chciał. Biedne, wynędzniałe szkapsko opierało się wszystkimi czterema nogami, jakby przeczu-

wając ostatnie swe minuty. Żał mi było opuszczać starego przyjaciela, przytem iść piechotą absolutnie nie mogłem. Ostrogą zmusilem go nareszcie do tej przeprawy. Nagle spłoszony rzuca się wraz ze mną w nurty rzeki. Fala uniosła nas szybko swym biegiem, a biedny gniadosz parskał i rzucał się, czas jakiś trzymając głowę na powierzchni.

Siedząc na płynącym koniu, woda dochodziła mi po pachy, tak że zupełnie przemoczone ubranie ziębiło mnie nieznośnie. Nie krzychałem ratunku, bo nie było go skąd oczekiwać, gdyż nadto każdy był sobą zajęty i gęsto płynące kry zatopiłyby każdego. Cudem dość długo egzystując na głębinie, wydostałem się na małą wysepkę, którą nie zdążyła zalać wezbrana rzeka. Tam stało już dwóch szaserów konnych francuskich i leżał jakiś piechur umierający; lecz w tej chwili resztkami sił płynący gniadosz, zanurzył się, a ja opuściwszy siodło zacząłem płynąć do punktu ratunku. Nie dobrze świadom tej sztuki, grzebałem się jak mogłem, by istnieć na powierzchni. Na szczęście woda już stawała się w tem miejscu coraz to płytsza, tak że końcem stóp dotknąłem gruntu, poczem znalazłem

się na wysepce. Tymczasem gniadosz płynął daleko już z biegiem rzeki, wywracany na wszystkie boki jej nurtami, aż zupełnie znikł mi z oczów. Ledwo pierwszy most był naprawiony, zaraz rzuciły się nań znowuż wynędzniałe tłumy i znowuż z powtórkiem załamaniem mostu, znalazły śmierć topielców. Rzeka przepelniła się ciałami ludzi i koni. Wielu rzuciło się w pław z nadzieją przepłynięcia na drugą stronę, ale nikt nie zdołał wylądować. Spieszono się ze wszystkich sił na przeciwny brzeg Berezyny, gdyż ścigający nieprzyjaciół, groził odcięciem pozostałej reszcie na prawym brzegu rzeki.

Wtem Książę Bellune, nie mogąc wytrzymać ataku rosjan, cofać się zaczął ku zbitym i tłoczącym się na most masom.

Nielad dosięgnął straszliwych rozmiarów, przytem, dla dopełnienia miary nieszczęść, zaczął dąć szalony wicher i padać gęsty śnieg. Wszyscy, znajdujący się przy życiu na tej naszej wysepce, szczękaliśmy do tego stopnia zębami, że nie byliśmy w stanie wymówić ani jednego słowa. Na szczęście nasze przeprowione wojska dostrzegły nas. Widocznie litość zdjęła kilku żołnierzy saperów francuskich, gdyż na łodzi, omal nie przy-

placając życiem, podpłynęło do nas, przywożąc z sobą 3 futra. Przybyli na tyle w porę, iż wszyscy prawie usypialiśmy zamarzając. U lewej ręki odpadły mi prawie zupełnie dwa przemrożone palce, pozostawiając nagie kości, które zaraz po wylądowaniu na brzeg podcinał mi chirurg przy samej dłoni.

Nie pamiętam wścieklejszego bólu, cała ręka spuchła jak kłoda drzewa. Trzeba było jakiego płótna, by zawinąć chorą rękę, ale i to zostało wyczerpane skutkiem opatrunku tysięcy innych rannych. Zrobiłem więc sobie bandaż z pozostałej części koszuli, jaka już prawie od tygodnia spadała mi z pleców.

Do wszystkich tych nieszczęść należy dodać, że most, zbudowany dla kawalerji i artylerji, również się zapadł pod jej ciężarem, pociągając za sobą mnóstwo ludzi.

Dnia 28-go listopada wielu żołnierzy zmarło na śmierć, inni zaś umierali z wycieńczenia. Dość, że postępując ku Wilnu, cała droga była zasłana zmarłymi, na wpeł przysypanymi zaspami śniegu. Nogi, ręce, głowy, fantastycznie wyglądały na śniegu, przedstawiając nie do określenia straszne widowisko.

Ta więc niegdyś liczna armja, teraz po przejściu Berezyny, pełna była szczątków. Większość jej ciągnęła wsparta na kijach, z brodami i włosami pokrytymi lodem.

Ten, który nie miał sił iść dalej, był zgubionym, gdyż nikt nie był w stanie dać mu pomocy.

O! wierzcie rodacy naocznemu świadkowi, że gdyby kto zapytał mnie albo z kolei każdego, kto tę kampanję odbył, a znał się cokolwiek na strategice wojennej— kto wojnę prowadził z Rosją w 12-tym roku, innejby odpowiedzi nie usłyszał jak tę: Walczyli polacy i przez polaków tylko tych parę tysięcy francuzów uratowano w powrotnej drodze.

Tak polacy walczyli za sprawy obce i walczyli sami, gdyż każdy kto wniknie w porządek prowadzenia tej nieszczęśliwej wojny, ujrzy najpierw polaków w najniebezpieczniejszych miejscach walki, wszędzie walczących z zaparciem się siebie; do czego zaś były te zwycięskie legjony, pokazało się już przy pierwszych mrozach w Rosji i przy pierwszych większych niewygodach. Oto tak się przedstawiają te niezwykłe wojska i stare gwardje Napoleona. Dalej

chcę tu krótko tylko dodać to, czego na początku opowiadania zupełnie nie wyjaśniłem o wojskach sprzymierzonych armji, które przecież świat liczył i liczy, iż wraz z francuzami przedstawiały półmilionowe zastępy. Otóż tak jest w istocie, liczba ta dochodziła swego nazwiska, ale czy była na co pożyteczną? Chyba każdy myślący człowiek to zrozumie, że nikt nie pomaga swemu wrogowi. Napoleon, podbijając kraje, w których mieszkali ci sprzymierzeńcy, do wojny z Rosją ich użył, a na co mu się oni przydali, o tem świadczy cały przebieg wojny. Oto austrjacy jak nadmienilem, całą wyprawę przedrzemali, od czasu tylko do czasu ustępując dla pozorów przed nieprzyjacielem, z którym wyraźnie byli w tajnej zмовie. Taką była pomoc ze strony Austrji. Co się tyczy Prus. to Macdonal, stojący pod Rygą z 10-tym korpusem, złożonym przeważnie z prusaków, dopiero 10-go grudnia zaczął się cofać ku Tylży. Pruski zaś korpus pod generałem Yorck, prawie od listopada żadnej nie dawał o sobie wiadomości, wciąż do tego czasu zajmując się czytaniem fałszywych biuletynów, niby o zwycięztwach Napoleona donoszących, dla których tak długo

do Prus nie wracał. Dopiero 20-ty biuletyn, niosący wiadomości o zniszczeniu armji Napoleona, stamtąd go wypłoszył wraz także z generałem Massenbachem, dowodzącym brygadą jazdy i na łono swego „faterlandu” zaprowadził.

Następne wypadki dowiodły, że generał Yorck działał w tajemnych widokach, a kto wie czy i nie za rozkazem swego rządu. Co zaś do pozostałych wojsk innych sprzymierzeńców, był to materiał ludzi źle usposobionych dla Napoleona i absolutnie nie zdatny do żadnych trudów wojennych zwłaszcza w zimie, bo trzeba było tylko o nich myśleć i im usługiwać.

Kto się więc bił? bili się więc francuzi i polacy do pierwszych przypuszczalnie mrozów, a następnie już tylko polacy, zasłaniając tysiące takich ludzi, którzy nie mieli broni, bo odmrożone ręce nie pozwalały im jej trzymać. Tymczasem czytamy o polakach w każdym raporcie, że wciąż byli czynnymi i dzięki im, ten który powinien leżeć zmrożony i zasypany śniegiem w Rosji, wrócił na łono swej ziemi.

Nie będę więcej rozpisywał się o tem, co zapewne historycy świata oznajmią, mając nadzieję, że przecież bliżej te rzeczy zbadawszy,

przyznają nam słuszość, a tymczasem wróć opowiadaniem do pułku swojego.

Widocznie zaziębiłem się podczas wpadnięcia w Berezynę, gdyż nagle febra zaczęła mną trząść niezmiernie. Futro, dostarczone mi podczas wyratowania nas przez saperów, wróciło nazad do swego właściciela, zaledwie tylko wysuszyłem ubranie przy palącym się ogniu, tak że znowuż okręcony dziurawym swoim płaszczem, drżałem z zimna zwiększonego chorobą.

Drugiego dnia po tej pamiętnej rzecznej przeprawie odnalazłem swój pułk. Dzielni wiarusi stali ustawieni w trzy szeregi dla oddania pułkownikowi honorów, który w jakichś sprawach na jeden dzień pułk opuścił i teraz wracał. Podeszedłszy do swego oddziału, zająłem miejsce pierwsze, stając na jego froncie.

„Zdrowia życzymy waszej mości!” ryknęła wiara mego oddziału. Rozweseliło mnie to, przytem widok porozcinanych twarzy, rąk na temblakach, poszarpanych płaszczów i mundurów, dziurawych butów — słowem nędza wojska tak mnie rozrzewniły, iż niczem nie mogłem pohamować łez, obficie z oczu płynących.

Żal szamotał mną, gdym patrzył na wychudzonych towarzyszków, z nimi przecież odcierpiałem tyle trudów wojennych, tyle niewygód i ran, wreszcie przez nich zostałem kawalerem legji.

Wiatr z zadymką dał w twarz, wygwizdując żalosne melodie, do których przyłączyły się dźwięki sygnałów różnych oddziałów wojsk. Z zachodniej strony ukazało się kilka czarnych punktów, zbliżających się ku nam po białym kobiercu ziemi. Oficerowie zaczęli zajmować swoje miejsca, a po chwili rozległa się komenda: „Bacność!” gdyż nasz pułkownik z paroma oficerami i trębaczem podjeżdżali do frontu. „Wiwat, niech żyje nam!” roznosiły się po szeregach głosy, ale smutny pułkownik mało zwracał na te owacje uwagi, wciąż nie odrywając od oczu lunety, którą kierował po okolicy i poruszających się wojskach. Nareszcie machnął ręką w stronę Wilna i pułk ruszył.

Dywizja generała Dąbrowskiego znajdowała się gdzieś niedaleko na południowej stronie armji, tak że rozglądałem się czyli lada chwila nie ujrzę jej gdzie, jak również znajdującego się tam Cygana, ale zadymka doszła do takich roz-

miarów, iż dalej jak na kilkanaście kroków nie było widać. Po godzinie takiej drogi, jadąc na jakimś szkapsku kozackim, które dano mi jako zapasowego konia, zastaliśmy drugi pułk ułanów, biwakujący w niewielkiej wiosce, który czekał tu na resztę armji, by się z nią połączyć.

Już było około godziny siódmej wieczorem, a ciemność nie zachęcała do dalszej podróży, gdy napotkaliśmy chałupy wiejskie, zapowiadające pierwszy możliwy wywczas od chwili wymarszu z Moskwy.

Na początku wsi stał dworek. Pułkownik i wszyscy oficerowie udaliśmy się do niego, prosząc o gościnę.

Znaleźliśmy ją niebawem, gdyż serdeczny gospodarz, dolewając do szklanek świeżego węgryna oficerom 2-go pułku ułanów, tak się ucieszył tą nową paczką głodomorków, iż co siły kazał nowe stoły zastawiać. Dawniejsi nasi koledzy witali mnie kolejno, byli tu nie wszyscy, których opuściłem pod Smoleńskiem, gdyż 15-tu poległo podczas utarczek, staczanych w okolicy Bobrujska.

Ledwo zdążyłem zasiąść do stołu, gdy do pokoju wszedł porucznik Antonowicz, trzymając

mapę w rękę. Zerwałem się z miejsca, i wzajemnie padliśmy sobie w ramiona.

„Czołem, czołem, mości poruczniku, wyglądasz nie do pozazdrosczenia, użyłeś widać wyprawy”, rzekł Antonowicz. Wypiliśmy po szklance wina, którego błogie ciepło rozeszło się po zwiędłych żyłach. Nie pamiętam, żebym kiedy zjadł więcej, żarłem raczej niż jadłem. Nie mogłem się dość nacieszyć starym swoim towarzyszem, z którym setki zamieniłem zdań w ciągu niespełna pół godziny.

Dowiedziałem się z opowiadania Antonowicza, że Cygan za dzielne i waleczne czyny piastuje godność wachmistrza i jest tak gorliwym w swoich obowiązkach, iż pułkownik nie życzy sobie kiedykolwiek lepszych wachmistrzów. Pragnąłem zaraz go zobaczyć, ale dnia poprzedniego, z kilku ułanami pojechał z raportem do generała Dąbrowskiego, znajdującego się obecnie przy cesarzu, we wsi Mołodecznie.

Nie zapomnę nigdy w życiu, jakie dziwne wrażenie wywierał na mnie zamieszkały dom. Zdawało mi się, że niewidziałem go już setki lat, to też łakomie spoglądałem na rozesłany

z boku pod ścianą dywan, na którym już leżało kilku oficerów głośno chrapiąc.

Lecz zaledwie parę kroków postąpiłem w tym kierunku, by choć na chwilę wyciągnąć strudzone kości, do uszu moich doleciał sygnał alarmu, a potem gęste strzały, skierowane do domu.

Tłukąc szyby w oknach, kule wpadły do naszego pokoju, raniąc 3-ch oficerów i 2-ch zabijając.

Zerwawszy się ze swoich miejsc, chwyciliśmy za pałasze, gdyż pistoletów nikt nie miał nabitych, przytem większa ich część pozostała w olstrach przy siodle. Wyjść na podwórze nie było można, gdyż za drzwiami stał nieprzyjaciel, gotowy do strzału; pozostać zaś dłużej w domu to znaczyło dać się spalić żywcem przez mściwego wroga, który gotów był to zrobić, by tylko o ile możności niszczyć nasze wojska, wiedząc w dodatku, że atakuje oficerów. Jeden z moich kolegów chciał wyrzeć przez okno dla zobaczenia, czy ułani ze wsi nie biegną nam na ratunek, ale w tej chwili dostał kulka w głowę, ścieląc się na podłodze snem wiecznym.

Czekać nie było czego. Zwarci kupą, wydostaliśmy się do ogrodu. Zaczęła się rąbanina. Kozacy również z pałaszami w rękach rzucili się na nas, ale wnet też, nie mając pojęcia o sztuce szermierki, padali gęsto, cofając się ku bramie wjazdowej.

Sytuacja nasza dla tego była szczęśliwą, iż choć liczniejszy dziesięć razy nieprzyjaciel, przecież wystrzelawszy swe strzelby do okien dworu, nie zdążył ich nabić powtórnie i na pałasze walkę przyjąć był zmuszony. Wiarusy trudnych walk, stawali jak lwy, tnąc zapamiętałe zakłócieli spokoju, jakie niebo nam zesłało po tylu niewygodach. Tymczasem od strony wsi dochodziły okropne krzyki bitwy, pomieszane ze szczekaniem psów i salwami karabinów.

Po kwadransie walki, kozacy opuścili podwórze dworskie cofając się ku wsi.

Ponieważ konie nasze stały w oborach nie ruszone przez nieprzyjaciela, przeto pozostawiliśmy kilkunastu na warcie, z nabitą bronią pobiegliśmy do wsi zaprowadzić tam jakowyś ład pomiędzy naszymi ułanami, by nieprzyjaciel nie zadał im jakiej klęski.

Przez ogrody i groble biegliśmy połączyć się ze swymi, jakoż w kilka chwil zastaliśmy w należytych porządku walczących ułanów, mimo, że liczniejszy nieprzyjaciel uporczywie na nich nacierał. W trakcie samej bitwy zobaczyłem Cygana, powracającego z Mołodeczna, który zaraz dostał się w odmęt walki. Nieprzyjaciel coraz to groźniej nacierał, ale też i ułani uporczywie wytrzymywali te ataki. Teraz każdy oddział ułanów, mając na czele oficerów bądź swoich, bądź obcych cofnął się na pola i tu dopiero górę brać zaczął.

Jakiś olbrzym kozak, niemałe spustoszenie rozsiewał pomiędzy naszymi. Straszną siłą obezbraniał naszych, uderzając ciężkim swym kindżałem w lekki stosunkowo ułański pałasz, który gdy wyrzucał walczącemu, wówczas dawał tak gwałtowne cięcia, że odcinał niemi głowy lub przecinał do wpół pasa. Mimo to dosyć miał chętnych do walki z sobą. Nareszcie z pośród kupy ułanów wysunął się również olbrzym i siłacz, kierując atak na atletę kozaka. Jak dwa lwy zwarli się z sobą; jak młoty kowalskie w kowadło, tak pałasz o pałasz uderzał, gdyż obydwaj znali swą sztukę; jak miechy ich piersi falowały

ze zmęczenia, wydychając kłęby pary. Kilku kozaków ruszyło na ratunek swojemu, lecz również kilku ułanów popędziło pomódz Cyganowi, tak że znowuż walka zapanowała pomiędzy tymi, co z pomocą dążyli, a dwaj Herkulesi walczyli i walczyli dalej. Zraniony piką kozacką w bok, tak zesłabłem skutkiem dużego ujścia krwi, że nie byłem w stanie myśleć o pomocy Cyganowi, natomiast walkę tę mogłem widzieć znakomicie. Cygan resztkami sił gwałtownie ciął przeciwnika ale w tej chwili ten podstawivszy naprzeciw swój pałasz, pochwycił Cygana za gardło i obadwaj zwaliwszy się z koni, rękoma nawzajem usiłowali się zdusić. Zaczęło się szamotanie, podczas którego kozak tak potrząsnął Cyganem, że ów upadł i jużby życiem to przypłacił, gdy wtem poszarpany mundur jego rozpiął się, odsłaniając na jego piersi medaljon Matki Boskiej, przegladający się w zbójceckich oczach kozaka.

Nagle walka ustała. Olbrzym, trzymając Cygana za gardło, drgnął, puszczając swego przeciwnika, poczem wydał okrzyk: „Brate moj! Andryj, nie užto ty każe moj rodymyj”? Nie rozumiał Cygan słów brata, ale serce było jego

tłumaczem, gdyż wzajemnie wpadli sobie w ramiona.

Jak się później okazało, Cygan, będąc jeszcze małym dzieckiem w domu swych rodziców, dostał od matki święty medaljonik, taki sam jak jego brat. Kozak pamiętał tę chwilę dobrze, gdyż był parę lat od niego starszy, przytem poznałby Cygana wszędzie, ale nie przypuszczał, by w polskiem znajdował się wojsku, dopiero medaljonik rozjaśnił całą ich sprawę.

Odgłos ostatnich wystrzałów nił w sąsiednich lasach, kiedy nasi ułani, odpartszy nieprzyjaciela, wracali napowrót do wsi na miejsce spoczynku.

Ustąpili kozacy pełni przekleństw i złości, że walka żadnego wyniku nie dała, że bogaty łup jaki przewidywali, zamienił się w pokaźną ilość zabitych towarzyszków i że stracili Zachorkę, jednego z najlepszych zabijaków, którego długo oczekiwali na skrajach lasu i doczekać się nie mogli.

Nie mitrząc, po skończonej bitwie zaraz zagrały sygnały, oznajmiając dalszą drogę ku granicom ojczyzny. Książę Poniatowski, zgromadziwszy koło siebie resztki wojska polskiego,

otrzymał rozkaz wrócenia przez Olitę do Księstwa Warszawskiego. Pułk nasz wciąż zajmował lewe skrzydło pochodu, dla zasłonięcia z tej strony niedobitków armji francuskiej, lecz kiedy odłączył się od niej, zajął czoło pochodu.

Szykując się do marszu w stronę Warszawy, dziwiłem się, że Cygan nie dawał o sobie znaków życia od chwili ostatniej bitwy, gdyż choć pułk jego na drugiej stronie pochodu znajdował się teraz, przecież będąc wachmistrem mógłby łatwo uzyskać pozwolenie, nie tylko zobaczenia się ze mną, ale nawet przeniesienia do pułku 6-go, gdyż u nas nie było ani jednego wachmistrza, wszyscy bowiem pozostali pod śniegami w Rosji.

Z różnych powodów zostałem chwilowo mianowany adjutantem księcia Józefa, który najwięcej dla tej racji mnie zarządał, iż będąc przy generale Fiszerze byłem już z temi obowiązkami obznajmiony.

Po wręczeniu mi rozkazu, niezwłocznie udałem się na swym kozackim szkapku do obozu naszego wodza. Zastąpiłem księcia około palącego się ogniska, w chwili gdy rozdawał rozkazy.— Smutny był książę, jednakże widocznego znużenia wojną nie było po nim znać. Prawda że

wszyscy nasi ludzie starali się wzajemnie pomagać generałom, ale przecież i księżę jadał koninę i pił wodę z rowów, oraz marzył jak my, a mimo to wszystko postawą i dziarską miną celował przed wszystkimi.

Gdy mnie tylko ujrzał księżę roześmiał się, patrząc na mego wierzchowca, poczem zapytał czyli to jest ten sam koń, który szarżował ze mną pod Możajskiem; odrzekłem tedy, że tamten pije wodę w Berezynie, ten zaś jest bezdomnym włóczęgą, którego na drodze napotkałem i dzięki czemu nie idę piechotą. „Wtakim razie, rzekł księżę, musisz panie poruczniku postarać się o innego konia, gdyż widząc pana na takim, nie mogę mu dawać zleceń, które na kilka wiorst w obrębie naszego wojska trzeba szybko załatwiać.”

Armja nasza, znajdująca się już za Wilnem, zmierzała drogą do Olity.

W Piwoszunach kupiłem konia za bardzo małe pieniądze od oficera szwoleżerów, który jako ranny wracał z nami do ojczyzny na saniach. W tej mieścinie a raczej dużej wsi pierwszy raz po wyjeździe z Warszawy wykapałem się i gdym stanął rozebrany przed lustrem mimo woli łzy mi w oczach stanęły, gdyż liczne rany

i strupy od kęsania robactwa, skutkiem chodzenia bez bielizny, pokrywały moje ciało zupełnie. Jeszcze tego samego dnia ruszyliśmy do Olity, a stamtąd drogą ku Sejnom. Tutaj na tej drodze spotkaliśmy znowu pułk 2-gi, a z nim Cygana i Zachorkę jego brata, którzy tak mnie prosili usilnie o przeniesienie ich do pułku 6-go, by razem być ze mną, iż zaraz musiałem udać się do księcia z prośbą o to przyjęcie. Od tej więc chwili Cygan został wachmistrzem w naszym pułku, a Zachorko ułanem 2-go szwadronu. Trudno było w pierwszych początkach kozakowi przyzwyczać się do naszych obowiązków wojennych, ale dobra jego chęć zwyciężyła wszystko. Cieszyłem się bardzo, widząc tych wielkoludów w naszych szeregach; cieszył się i książę, miłośnik siły i odwagi, a cały pułk nazwał to zrzędzeniem Boskiem.

Tymczasem liczne kupy kozaków ciągnęły za nami, jak wilki czujące źer. Dojechawszy do Sejnów, zajęliśmy tu kwatery w nadziei wyczasowania i poprawienia mundurów, by przy wjeździe do stolicy nie przedstawiały przykrego wrażenia.

Siedząc w ciepłej stancji przyglądałem się, jak córka gospodarza reparaowała mój mundur. Cygan i Zachorko siedzieli na ławie, kiwając się snem znużeni. Wtem pies rzucił się do drzwi ze szczekaniem. Podniosłem oczy i jakież moje przerażenie. We drzwiach stało kilku kozaków z gołemi pałaszami i nim zdążyłem porwać za broń, jeden ciął mnie w głowę tak, że na wpeł przytomny przewróciłem się pod stół.

Cygan i Zachorko, porwawszy się ze swoich miejsc, stanęli do rozpaczliwej obrony, dusząc napastników, których coraz więcej zaczęło wchodzić do stancji. Cała izba napelniła się kurzem, krzykiem i płaczem kobiet.

Sześciu kozaków leżało z rozbitemi głowami, gdyż Cygan ławką tłukł nieprzyjaciela, Zachorko bronił się nogą od stołu, nie mając innej przy sobie broni. Wreszcie rozlega się parę wystrzałów, poprzedzanych słowami: „A Zachorko, i ty zdieś, wot na! podychaj sobaka!” Dwa olbrzymy, jak dwa dęby podcięte, zwały się na podłogę. Prawie w tę samą chwilę rozległy się krzyki „bij łajdaków;” to nasi ułani walczyli w bliskości. Kozacy, usłyszawszy te słowa,

wypadli na podwórko i w izbie zapanował spokój.

Nieprzyjaciel, dostawszy porządną nauczkę za swój napad, w zupełnym nieładzie rozsypał się na wszystkie strony, pozostawiając kilkanaście koni i dość znaczny łup, zdobyty na francuzach, a pochodzący z Moskwy.

Byłem cały skutkiem otrzymanej rany zbroczony krwią, która obficie płynęła mi z ust i nosa. — Głowa też mnie bolała, mimo, że rana na niej opatrzona była starannie.

Nie mogłem uspokoić żalu na widok zabitego Cygana. Biedaczysko mawiało mi nieraz: „Ot przyjedziemy Wasza Mość do kraju, tam czeka na Waszą Mość matka i jeszcze ktoś, a pewno codzień z balkonu wygląda, czyli nie widać naszego pana, a pan, Bogu dzięki, i zdrów jedzie jak ryba i z krzyżem na piersiach.

Wchodzili kolejno wiarusi do stacji, ostatni raz popatrzeć na swego wachmistrza, a na każdej twarzy widać było wielki smutek, gdyż Cygan był ulubieńcem pułku jako wachmistrz i jako przyjaciel. Tymczasem wniesiono do izby siodło, a także wszystkie rzeczy, należące do składu amunicji po zabitym wachmistrzu, które należało

przejrzeć i odesłać do składu. W siodle, w kociołku znaleziono list, pisany ręką Cygana, który brzmiał jak następuje:

„W pierwszych słowach tego pisma Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus. Pismo pisane na postoju pod Mińskiem do Jego Mości porucznika 6-go pułku ułanów, pana Gnoińskiego, jako syna mej przybranej matki. Zatem kto-by to pismo znalazł po mojej śmierci, niech go odda komu należy i rzeczy cenne, znajdujące się z drugiej strony siodła, również mu odda. Do Waszej zaś Mości piszę i proszę, by te rzeczy matce oddał i ucałował jej ręce za moje wychowanie. Przeczuwam że nie sądzono mi jej już więcej ujrzeć. Śmierć też co noc we śnie widzę. Żegnam wszystkich towarzyszy, cały 2-gi i 6-ty pułk z tą dobrą nadzieją, że się zobaczymy na tamtym świecie i jak anioł Michał wojować z piekłem będzie, pójdziemy na moc szatańską.



VI.



azajutrz po potyczce w Sejnach, odbył się przy odgłosie dzwonów kościelnych, pierwszy raz pogrzeb poległych na tej wojnie. Trzydzieści trzy trumny wieziono na brykach, a za nimi postępował pułk. Trzydzieści trzy groby odrazu przybyły na cmentarzu szeregiem obok siebie, a jeden z nich z krzyżem prawosławnym.

Prawie jednocześnie z naszym przybyciem do Sejnow przybyło masę obywatelstwa spotykać powracających z wojny polaków. Niektórzy z nich darli sobie włosy na głowie, dowiadując się o śmierci swych synów, niektórzy zaś nie posiadali się z radości, spotykając tych, z którymi dążyli się zobaczyć. Taką drogę mieliśmy prawie do samej Warszawy.

Trudno opisać szczęście, jakie przejmowało nasze serca na widok polskich wiejskich chałupek, przysypanych śniegiem, z których wyglądali ciekawi włościanie, przypatrując się naszemu po-

chodowi. Gdyby nie to, że gwiazda, która nam zaświeciła na tak krótko — zgasła, i nie żał za straconemi przyjaciółmi, byłibyśmy tak szczęśliwi, że szczęścia tego człowiek, żyjący w bezpieczeństwie, nie byłby w stanie zrozumieć.

Z powodu rany, jaką otrzymałem w Sejnach, ksiązę zwolnił mnie od obowiązków adjutanta, tak że znowuż znalazłem się obok swego oddziału.

Pamiętam jak dziś, słońce miało się ku zachodowi, gdy dojeżdżaliśmy do Warszawy. Nieco wypoczęty żołnierz kręcił węża, czując się na swoich śmieciach, a na twarzy każdego malowała się radość i szczęście na widok ukochanej stolicy. Nie grała nam muzyka, gdyż większa część instrumentów zginęła na wojnie wraz z tymi, co w nie dmuchali.

Wjechaliśmy do miasta spokojnie nawet bez śpiewu.

Ledwie tylko konie uderzyły kopytami w miejski bruk, wnet też ze wszech stron stęsknieni mieszkańcy stolicy biegli na spotkanie z okrzykiem powitania. Ludność prosta wdrapwała się na parkany, płoty i dachy, skąd po-

wiewała chusteczkami i czapkami, dopokąd oddziały wojska nie znikły w koszarach.

Tymczasem nieprzyjaciel zajął część Księstwa Warszawskiego i najechanie stolicy było rzeczą oczekiwaną z dnia na dzień. Wydano w tym czasie masę proklamacji, zagrzewających wojsko do oddania ostatniej przysługi krajowi i wylania resztek krwi już nie za Napoleona, lecz za własne bezpieczeństwo, a jednocześnie rada konfederacyjna ogłosiła pospolite ruszenie.

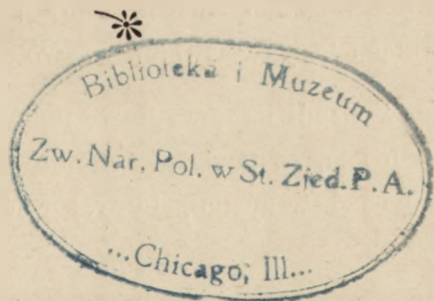
W jakiś czas po powrocie do Warszawy dostałem urlop dla załatwienia spraw majątkowych. Biegłem więc najprędzemi kurjerami do Krakowa, by zobaczyć matkę, kierując drogę na dworek rodzinny. W kilka dni potem w niedzielę zbliżałem się do wsi, gdzie stał nasz kościół parafjalny. Ponieważ w tę porę odprawiała się suma, wszedłem więc do kościoła, by się pomodlić i zobaczyć znajomych od tak dawna niewidzianych.

Powiodłem oczami po ławkach, nagle poznałem matkę. Mimo że kilka już razy patrzyłem w tę stronę, jednakże dla opuszczonego czarnego tiulu żałoby na twarz matki nie mogłem jej poznać.

Po skończonem nabożeństwie podszedłem do niej. Każdy łatwo może wyobrazić sobie nasze szczęście. Biedne matczyśko nie posiadało się z radości, gdyż uważała mnie za straconego, zwłaszcza gdy się tyle naczytała o zniszczeniu wielkiej armji Napoleona.

Przed kościołem stały nasze konie, zaprzęgnięte do wygodnych sanek, powożone przez starego Szymona, który dotąd trzymał czapkę w rękę, mając wzgląd na mój krzyż legji, dopokąd nie upewniłem go, że to nie poświęcany.

Przez drogę do dworku naszego dowiedziałem się, że majątek nasz nie został wypuszczony w dzierżawę, gdyż choć wuj Rusznicki starał się o to, dając dzierżawcę, przecież matka wypuścić nie chciała, mimo że kradli porządnie i dopiero po przyjęciu energicznego plenipotenta wszystko wróciło niby do normalnego trybu.



VII.



W początku lutego 1813 roku książę Józef Poniatowski nagłony potrzebą opuszczenia Warszawy, z wojskiem polskim i radą ministrów udał się do Krakowa i tam zrobiwszy układy z księciem Szwarzenbergiem — postanowił czekać dalszych wypadków.

W tym czasie różne proklamacje, nawołujące Polaków do ostatecznego wyjścia z honorem za sprawy Napoleona, obiecującego raz jeszcze ratunek dla nas, sprawiły, iż król Saski zawarł konwencję z cesarzem austriackim, na mocy której wojsko polskie rozbrojone przeszło przez Śląsk, Morawy, Czechy, do Saksonji na Gabel i Citau kosztem Austrii, która później przy likwidacji księstwa pretensje swoje zaliczyła.

Poszedł na tę wyprawę pułk 6-ty, poszedłem zatem i ja, zostawiając żonę młodą i kochającą mnie nad wszystko, by ratować ukochaną ojczyznę.

Tam na obcych ziemiach pułk nasz okrył się chwałą w następujących atakach: pod Neustad dnia 15-go września, rozbijając dwa pułki kozaków, pod Lauterbach 21-go rozproszył prawie zupełnie trzy pułki jazdy nieprzyjacielskiej, pod Zehma 4-go października w szalonej szarży rozbil pułk huzarów i 12 secin kozaków, a najświetniejszą szarżę, którą zapewne historycy w księgach zapiszą, pułk nasz wykonał niedaleko Wachau, resztkami jazdy polskiej rozbijając 16-cie pułków jazdy nieprzyjacielskiej. W tym dniu nasz bohater pułkownik Suchorzewski został ranny, a ja straciłem rękę.

Oto jak pod Wachau rzecz się miała: Dnia 16-go października 1813 roku dwie liczne armje, połączywszy się z sobą niedaleko Wachau, groziły naszemu wojsku zupełną zagładą. Rekonesans, zbadawszy nieprzyjacielską pozycję oznajmił nam, że atak na prawe skrzydło wykonają: pułk kirasjerów austriackich, 3 pułki dragonów rosyjskich i 2 pułki kozaków. Na skrzydło lewe szykują się: pułk huzarów rosyjskich, 3 pułki kozaków i 6 pułków dragonów austriackich; — środek tego ataku zajmie artylerja austriacka, wsparta pułkami piechoty różnych wojsk.

Nasze wojska, szykując się do przyjęcia ataku, rozlokowały się trzema punktami, tworząc pozycję podobną do trójkątu, której czoło zajęły 3-ci i 12-ty pułki piechoty polskiej.

Pułk 6-ty, połączony z 8-ym ułanów i pierwszym strzelców konnych, zajął stanowisko na lewej linii, pozostałe zaś punkty zajęły inne pułki polskie.

Zahuczało, zadudniało zewszerech stron, zawyły armaty, zarżały konie i zaczął się bój srogi. Obok frontu naszego pułku na rozhukanem koniu stanął pułkownik i zmierzwiwszy nas przenikliwymi oczami, wskazał gołym pałaszem gęste kupy kozaków, komenderując głośno: „Hej! wia-rusy z pod Moskwy.” „Hej! pułku szósty pokaz, jak cenisz honor żołnierza!!! Niech twa dzielna ręka skruszy przemoc nieprzyjacielską!.”

„Marsz! Marsz!” Zajęczała ziemia od uderzeń końskich — to szósty pułk szarżuje.

Szelest chorągiewek i błyszcząca stal zwiastują, że za chwilę śmierć panowanie swoje tu rozsieję, że za chwilę pędzący huragan spotka na swej drodze drugi kierunek impetu i zawi-ruje z nim razem w uścisku piekielnego tańca.

Jadą! jadą! coraz bliżej sławy. Już przednie szeregi zwarły się z nieprzyjacielem! Zatrzeszczały lance i dzidy kozackie.

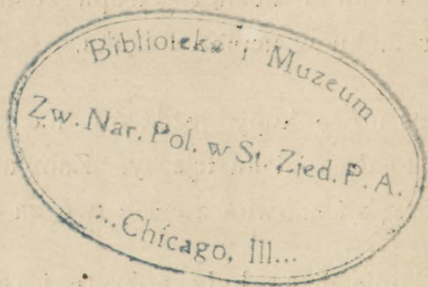
Warczą chorągiewki na włóczniech ułanów, czyniąc szalone zwroty w różnym kierunku, iskry się stal pałaszów, zataczając błyskawiczne koła. Przewraca się koń, pchnięty w szalonym pędzie piersią atakującego rumaka. Wre bitwa przez chwilę. Na miejscu walki już nikogo niema, jeno tam z sąsiednich lasów powracają z pieśnią nasi ułani, rozpędziwszy zupełnie na wszystkie strony kozaków. Teraz na plac dąży pułk huzarów rosyjskich, lecz łamie swoje szyki, nie wytrzymuje ataku i licznego trupa zostawiwszy, znowuż ratunku w ucieczce szuka.

Jakieś nowe kupy jeźdźców na spotkanie nam idą; to dragoni austriaccy. Znowuż trzask, znowuż brzęk i znowuż zwycięstwo za nami.

Już konie pianą były pokryte i ręka kłuc przestała, kiedy otrzymaliśmy rozkaz atakowania kirasjerów; jeszcze ostatni wykonaliśmy wysiłek i jeszcze jedno zwycięstwo przeszło na naszą stronę.

Czem ta sława kupiona? — krwią i blizną;
połowa ludzi z pulku naszego do wieczności się
przeniosła — Pułkownik ranny. Ja jeżeli tu mam
i o sobie coś dodać, to chyba to, że tracąc rękę
i licznymi okryty ranami, jako kaleka wracam
pod strzechę rodzinną.

KONIEC.



Po powrocie do kraju pułk 6-ty został zreformowany
na 2-gi ułanów, który 1831 roku oddał największe usługi.
